DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII | Warszawa, 5 października 1952 r. | Nr 40 (358)

W NUMERZE m. in.:

SZ. DEREŃ — Pamiętniki Herberta Hoovera

D. HORODYŃSKI — Warszawska krata

T. PETERS — Choroba filozofii chrześcijańskiej

M. van der MEERSCH—Św. Teresa z Lisieux

S. LICHAŃSKI — Antyklemens

J. POGORSKI — Filipiny

Konstanty ŁUBIEŃSKI

Uprzemysłowienie Polski podstawą Frontu Narodowego

WIEK XIX — jak wiadomo — był wiekiem ogromnego rozwoju przemysłu w zachodniej Europie. Zarówno wielkie jak i małe kraje gruntownie przeobraziły wówczas swoją strukturę gospodarczą stając się krajami przemysłowymi. Polska pozbawiona niepodległości nie mogła wziąć udziału w tym procesie jako całość gospodarcza.

TAK BYŁO
Zdjęcie chaty kurnej na Podkarpaciu (1934 r.)
fot. C.A.F.

Terytoria Polski rozdarte pomiędzy zabory podlegały polityce gospodarczej służącej interesom zaborców, która bardzo często miała charakter wyraźnie antypolski, polegający na upośledzaniu terytoriów zamieszkałych przez Polaków.

W zaborze rosyjskim zainicjowana przez Lubeckiego akcja uprzemysłowienia została zahamowana poczynając od 1870 r. przez politykę celną i taryfową rządu carskiego, kierowanego przez kapitalistów rosyjskich, którzy obawiali się konkurencji dość żywotnego przemysłu polskiego. Trzeba podkreślić, że polscy kapitaliści nie umieli lub nie chcieli tej polityce przeciwstawić się, a byli i tacy, którzy jej poszli na rękę przenosząc fabryki z terytoriów Polski w głąb Rosji, gdzie brak dyskryminacji pozwalał na osiąganie poważnych zysków.

W zaborze austriackim terytoria polskie były wyraźnie traktowane jako źródło tanich środków żywności i surowców, co pozwalało kosztem szerokich rzesz społeczeństwa polskiego na budowę przemysłu austriackiego i czeskiego opanowanego zresztą przez niemieckich kapitalistów. I tutaj niestety wielcy ziemianie (mniejsi też byli poszkodowani) za cenę najróżniejszych przywilejów nie kwapili się z wystąpieniem przeciwko polityce rządu wiedeńskiego, w którym zresztą sami uczestniczyli.

W zaborze niemieckim polityka zaborcy była nieco inna. Gospodarni Niemcy nie upośledzali terytoriów, natomiast podnosząc je nawet gospodarczo, prowadzili politykę eksterminacji, względnie germanizacji elementu polskiego. Lecz i na tych terytoriach poza Śląskiem, posiadającym ogromne złoża węgla nie rozwijał się przemysł, natomiast forsowano rozwój rolnictwa, mimo niezbyt korzystnych warunków glebowych. Wynikało to stąd, że junkrzy pruscy będący właścicielami wielkich majątków dysponowali tanią robocizną polską, a nadto rozwój przemysłu w Niemczech centralnych zapewniał produktom rolnym wysoką opłacalność. Poza tym względy strategiczne skłaniały raczej do uprzemysłowienia centrum kraju, a nie terytoriów wschodnich.

W wyniku tego rodzaju polityki państw zaborczych, rozwój przemysłu na terytoriach polskich był bardzo słaby. Śląsk, Zagłębie Dąbrowskie i Łódź, czy drobne, rozsiane tu i ówdzie zakłady przemysłowe nie zmieniały rolniczego charakteru całości terytoriów, które ponadto w większości znajdowały się w stanie zacofania gospodarczego.

W okresie pierwszej wojny działania wojenne, które objęły znaczną część ziem polskich pogorszyły jeszcze stan uprzemysłowienia na tych ziemiach.

W okresie międzywojennym (1918—1939) możemy zanotować wprawdzie wybudowanie pewnej ilości zakładów przemysłowych, jednak nie zmieniło to charakteru gospodarczego całości kraju, który pozostał nadal krajem rolniczym, a nadto we wszystkich dziedzinach zacofanym. „Był to okres — jak pisze wybitny znawca tego przedmiotu dr Secomski — stagnacji przemysłowej, a nawet często cofnięcia się i to również w tak kluczowych działach przemysłu jak przemysł węglowy i hutnictwo".

WYŁANIA się pytanie dlaczego Polska odzyskawszy własną państwowość nie poszła po drodze rozwoju przemysłu. Pytanie to sformułujemy najpierw nieco inaczej. Jakie przyczyny w warunkach ustroju kapitalistycznego panującego w Polsce w okresie międzywojennym przeszkodziły, względnie uniemożliwiły uprzemysłowienie kraju? Pierwszą przyczyną była ekonomiczna słabość kapitalistów polskich. Kapitał miejski przemysłowo-handlowy był rozproszkowany. Przedsiębiorstwa reprezentujące ten kapitał na skutek przeważnie kiepskiego wyposażenia technicznego, niskiej produkcji i trudności zbytu wykazywały niską rentowność (a często i deficytowość), która nie pozwalała na zdobycie ani własnych ani cudzych kapitałów dla celów inwestycyjnych. Jedyną „podporą" tych przedsiębiorstw były nieprawdopodobnie niskie płace, które ratowały rentowność niską wprawdzie, lecz na tyle wysoką aby zapewnić właścicielom dostatnie życie.

Kapitaliści rolni od wielkich ziemian do bogatych gospodarzy włącznie, znajdowali się w analogicznej sytuacji, z tym, że olbrzymie kapitały, którymi dysponowali latyfundyści nie mogły nawet w części być przeniesione do przemysłu, ze względu na niemożliwość ich upłynnienia.

W ten sposób kapitaliści zarówno miejscy jak i wiejscy popadli w pewien kwietyzm, polegający na zaniku przedsiębiorczości, utrzymywaniu przestarzałych metod gospodarowania i przejadaniu nie tylko całego dochodu, lecz również często substancji majątkowej. Polska międzywojenna jest szczególnie dobrym przykładem na to, że nie zachodzi jakiś stały związek pomiędzy własnością środków produkcji a przedsiębiorczością, która oczywiście jest motorem rozwoju gospodarczego.

Zakłady wielkiego i średniego przemysłu, które przypadły nam w spadku po zaborcach były opanowane prawie całkowicie przez kapitał zagraniczny. Jak wiadomo kapitał zagraniczny czerpał olbrzymie zyski z odsetek i dywidend, które jednak tylko wyjątkowo angażowano w inwestycje w Polsce, a z zasady lokowano w innych krajach. Dodać należy, że eksploatacja Polski przez kapitał zagraniczny odbywała się nie tylko przez prywatne przedsiębiorstwa opanowane przez ten kapitał, lecz również przez państwo, któremu udzielono pożyczek na pokrycie deficytów budżetowych (konsumpcyjnych) deficytów w przedsiębiorstwach państwowych czy czasem na dokonanie robót publicznych podejmowanych nie tyle pod kątem uprzemysłowienia, ile by utrzymać jakieś minimalne tempo życia gospodarczego. W rezultacie występowało tragiczne zjawisko. Oto wypracowane przez polskiego robotnika wartości, okupione często przez niego nieludzko niską stopą życiową przekazywano m.in. do Niemiec hitlerowskich, które zużytkowywały je na kucie broni przeciwko Polsce. Brak zainteresowania ze strony kapitału zagranicznego inwestycjami w Polsce wynikał stąd, że Polska ze względu na stan zacofania gospodarczego wymagała inwestycji o dłuższych okresach amortyzacyjnych i to nie pozwalających na wysokie oprocentowanie, a tymczasem kapitał zagraniczny chciał zachowywać maksymalną płynność kapitału i wiele zarabiać. Z tego względu kapitaliści angielscy czy amerykańscy chętnej lokowali swe kapitały w uprzemysłowionych Niemczech.

DLACZEGO jednak państwo nie skierowało życia gospodarczego ku uprzemysłowieniu. W warunkach ustroju kapitalistycznego państwo zawsze podlega wpływom kapitalistów. Państwo jako bezstronny sędzia pomiędzy kapitałem i pracą, o czym niektórzy marzą, jest fikcją. Tak też było w Polsce. Na politykę państwa wywierał wpływ kapitał zagraniczny i rodzimy. Kapitał zagraniczny domagał się od państwa zabezpieczenia swych maksymalnych zysków i pełnej swobody w gospodarowaniu tymi zyskami t.zn. przekazywania ich zagranicę. Kapitał rodzimy, który wpływał na politykę państwa, to przede wszystkim ziemianie i bogaci gospodarze, to znaczy te warstwy, które prowadziły poprzez aparat państwowy politykę wyraźnie antyprzemysłową. Z tego nie wynika, aby ta polityka przyczyniała się do rozwoju rolnictwa, ponieważ z zasady dla całości rolnictwa była szkodliwa, a zabezpieczała jedynie poszczególne interesy kapitalistów. W końcu nie można pominąć i tego faktu, że w okresie panowania sanacji wielu z jej przedstawicieli wykazywało w ogólności wprost zdumiewające lekceważenie zagadnień gospodarczych.

Jedyną klasą społeczną, której wpływ mógł skierować państwo na drogę uprzemysłowienia kraju była klasa robotnicza i chłopska dla

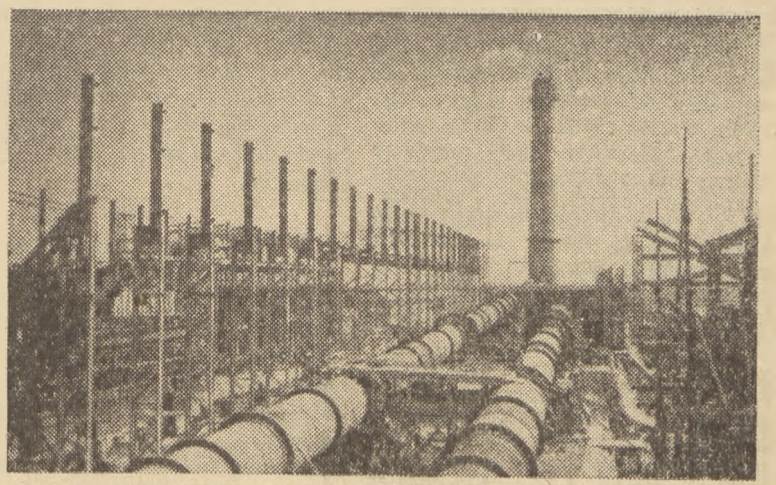

TAK JEST
Fragment budowy cementowni w Wierzbicy (1952 r.)
fot. C.A.F.

której uprzemysłowienie było równoznaczne przede wszystkim z likwidacją bezrobocia zarówno jawnego jak i nie jawnego (na wsi). Jednakże jak wiadomo w warunkach ustroju kapitalistycznego klasa ta nie ma istotnego wpływu na politykę państwa.

W ten sposób przedstawiają się najogólniej ujęte przyczyny, które spowodowały, że okres 20 lat dla sprawy uprzemysłowienia został zmarnowany.

CZY jednak w warunkach ustroju kapitalistycznego w okresie 20-lecia mogło nastąpić uprzemysłowienie Polski. Odpowiedź negatywna nie nastręcza chyba trudności, wymaga jednak krótkiego komentarza. W okresie 20-lecia kapitalizm znajdował się już całkowicie w swej fazie monopolistycznej, skutkiem czego kraj zacofany znajdujący się w ustroju kapitalistycznym nie mógł już rozwijać się stosownie do swoich potrzeb, względnie nawet do potrzeb drobnych i średnich kapitalistów, lecz będąc ujarzmiony w różnych formach przez monopole musiał stosować się do ich wymagań, które z zasady były dalekie od prawdziwych jego interesów. Zaryzykowałbym natomiast hipotezę, że gdyby w XIX w. Polska była krajem niepodległym, to w fazie kapitalizmu wolno-konkurencyjnego istniały szanse osiągnięcia większego czy mniejszego stopnia uprzemysłowienia. Oczywiście trzeba podkreślić, że uprzemysłowienie w owej fazie odbywałoby się kosztem skrajnej nędzy klasy robotniczej, tak jak to miało miejsce w krajach zachodniej Europy, a w szczególności w Anglii.

O niemożliwości uprzemysłowienia Polski w warunkach ustroju kapitalistycznego w jego fazie monopolistycznej świadczy również fakt, że nie ma chyba ani jednego kraju, któryby w tej fazie rzeczywiście uprzemysłowił się. Tu i ówdzie powstawały wprawdzie zakłady przemysłowe, nigdzie jednak nie zmieniły one charakteru gospodarczego kraju, nigdzie nie wydobyły go z zacofania.

Uprzemysłowienie jednak to nie jakaś sprawa marginesowa, to nie jedna z ewentualności rozwoju gospodarczego Polski. Alternatywa brzmi, **albo Polska zostanie uprzemysłowiona, będzie niepodległa i pełna rozkwitu, albo jej wcale nie będzie.** Zrozumienie znaczenia uprzemysłowienia Polski jest już

(Dokończenie na str. 6)

Szymon DEREŃ

PAMIĘTNIKI HERBERTA HOOVERA

NA kongresie Partii Republikańskiej w Chicago, który wysunął generała Eisenhowera na kandydata w zbliżających się wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych, jako jeden z głównych mówców wystąpił Herbert Hoover, weteran polityków amerykańskich Nazwisko jego było przez wiele lat głośne w polityce światowej, ale stary rzecznik imperializmu amerykańskiego i dziś jeszcze przypomina o sobie od czasu do czasu występując na arenie publicznej. Jest on wciąż konsekwentny w swej linii postępowania: jeżeli krytykuje politykę zagraniczną swych następców na fotelu prezydenckim, to tylko pod kątem obawy, że stosowana przez nich taktyka jest zbyt mało wydajna.

W ostatnich dziesiątkach lat zakorzenił się u polityków zachodnich zwyczaj pisania i wydawania za życia pamiętników. Służy to po prostu jako jeden ze środków w akcji politycznej. Autorzy tych wspomnień i pamiętników starają się tą drogą bądź reklamować swą własną osobę, sugerując, że dawne „zasługi" upoważniają ich do ponownego sięgania po władzę, bądź też jeżeli już stoją nad grobem, usiłują oddać jeszcze usługi obozowi, do którego należą, ilustrując na przykładzie własnej działalności propagandowe tezy gasnącego świata

Hoover również nie składa jeszcze broni. Aktywna jego kariera polityczna jest już dawno zakończona, ale nie skąpi on młodszemu pokoleniu rad zaczerpniętych z własnego bogatego doświadczenia oraz usiłuje dołożyć swą cegiełkę w propagandowym maskowaniu zaborczości imperialistów amerykańskich za pomocą frazeologii humanistycznej. I on powiększył grono polityków ogłaszających tendencyjne pamiętniki*).

Wprost denerwująca jest nuta samochwalstwa i hipokryzji, nadająca ton wszystkim tym ogłaszanym wspomnieniom polityków burżuazyjnych. Każdy z nich pisząc ex post o wydarzeniach w których brał udział, był najbardziej przewidującym i dalekowzrocznym, każdy z nich powodował się rzekomo tylko najwznioślejszymi ideałami. Troska o dobro ludzkości i zabezpieczenie pokoju kierować miała nimi nawet wtedy, gdy „w imię przyszłości" przyczyniali się do eksploatacji słabszych i szykowali akty agresji. Sądząc z ich słów, imperialistą i szowinistą był tylko ten, który bronił swych praw i nie chciał się podporządkować poleceniom dyktowanym przez kapitał światowy.

Pisząc jednak kłamliwie i fałszując bezceremonialnie historię, pamiętnikarze tego typu ogłaszali wiele dokumentów i przytaczali dużo faktów, które wbrew intencji autorów rzucać mogą, przy krytycznej analizie, rewelacyjne światło na metody i faktyczne ich motywy działania. Wbrew swym najlepszym chęciom nie ustrzegł się tego i Hoover, toteż pamiętniki jego, będące w pierwszym wydanym dotychczas tomie bombastyczną apologią rzekomo bezinteresownej pomocy Stanów Zjednoczonych dla głodującej Europy w latach pierwszej wojny światowej, dają nam jednak dużo ciekawych wiadomości.

Osoba Hoovera jest napewno dobrze znana zwłaszcza starszemu pokoleniu czytelników polskich. Nie od rzeczy będzie jednak, przed wejrzeniem do tekstu omawianych pamiętników, przypomnieć karierę życiową tego polityka, gdyż ułatwia to zrozumienie jego postępowania i poglądów.

HERBERT HOOVER urodził się w 1874 r. w rodzinie drobnomieszczańskiej i zrobił karierę iście amerykańską zawdzięczając pomocy i zaufaniu wielkich trustów, którym młody i zdolny inżynier służył gorliwie i bez skrupułów. Miał zaledwie 23 lata, gdy zatrudniające go przedsiębiorstwo amerykańskie powierzyło mu kierownictwo kopalń w Australii, w których było zainteresowane wespół z inną firmą brytyjską. Hoover nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Eksploatując tanią robociznę tuziemców przysporzył dużych dochodów swym mocodawcom. Ale nie zapomniał i o sobie, tak że już w dwa lata później mógł wejść jako wspólnik do odnośnej firmy brytyjskiej, pozostając nadal mężem zaufania kapitału amerykańskiego.

Teraz uruchamia wielkie koncesje górnicze i kolejowe w Chinach, korzystając z możliwości, które otwarło tam zdławienie przez mocarstwa kolonialne powstania Bokserów. Zyski z kolonialnej eksploatacji Chin były wtedy bajeczne, toteż po dalszych dwóch latach Hoover zakłada już przy wydatnej pomocy banków amerykańskich, własne przedsiębiorstwo, które stawia sobie za „cywilizacyjny" cel uruchamianie bogactw naturalnych krajów zacofanych w basenie Oceanu Indyjskiego za pomocą nieograniczonego wyzyskiwania pracy miejscowych „dzikusów".

Minęło dalszych 6 lat i Hoover, już jako milioner, staje w 1908 r. w awangardzie kapitału amerykańskiego, dążącego do gospodarczego opanowania Rosji. Za grosze uzyskuje od hr. Meller-Zakomelskiego, trwoniącego swój fundusz na hulankach w Petersburgu, koncesję na wykorzystywanie bogactw leśnych i kopalnianych w jego dobrach na Uralu, obejmujących setki kilometrów kwadratowych. Zyski w Rosji carskiej są jeszcze nawet większe, niż realizowane dotychczas w Burmie czy Ceylonie, toteż Hoover likwiduje tamtejsze interesy i z kolei opanowuje naftę Majkopską Rodzina Romanowych nie gardzi współpracą z republikańskim dolarem, to też zarząd apanaży udziela Hooverowi dalszych ogromnych koncesji leśnych na Syberii. Wspólnikiem Hoovera w jego interesach rosyjskich był znany condotier kapitału angielskiego Leslie Urquhart, później jeden z najczynniejszych organizatorów interwencji w Rosji i zaciekły wróg ustroju radzieckiego.

Zwykłą koleją losu businessmana amerykańskiego Hoover, dorobiwszy się majątku, przechodzi do polityki. Etapem do tego było objęcie przez niego na początku pierwszej wojny światowej kierownictwa „Komitetu wyżywienia" okupowanej przez Niemców Belgii. Przebywał często w Berlinie, nawiązując tam bliskie kontakty z wojskowymi i politycznymi sferami Rzeszy oraz przygotowując już na przyszłość współpracę imperializmu amerykańskiego i niemieckiego. Przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny, odłożyło to na czas powojenny. Hoover został mianowany przez Wilsona „dyktatorem żywnościowym" Stanów Zjednoczonych, a po zawieszeniu broni stanął na czele amerykańskiego „Komitetu Wyżywienia Europy". Z kolei, po nieudanych próbach interwencji zbrojnej w Rosji radzieckiej, Hoover usiłował organizować tam dywersję wewnętrzną pod płaszczykiem filantropijnej działalności „Amerykańskiej pomocy dla głodujących w Rosji" (ARA).

MONOPOLIŚCI amerykańscy ocenili należycie oddane im przez Hoovera usługi. Karierę jego wieńczy stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jako kierownik amerykańskiej polityki zagranicznej forsuje wydajnie odbudowę potencjału militarnego Niemiec, na który głównie liczy dla obalenia ustroju radzieckiego. Nienawiść jego do ZSRR podsycana była walnie przez stratę zyskownych koncesji. W imię tworzenia bloku antyradzieckiego Hoover torował drogę do władzy Hitlerowi. Był to jedyny „sukces" jego prezydentury. Stuprocentowe popieranie w polityce wewnętrznej interesów monopolistów pchnęło Stany Zjednoczone w odmęt niespotykanego dotychczas kryzysu gospodarczego, którego ofiarą padł sam Hoover, zmuszony przy następnych wyborach prezydenckich ustąpić miejsca Rooseveltowi.

Po tej porażce Hoover nie przestawał być aktywny na odcinku niemieckim. Jeździł do Niemiec dla przeprowadzenia konferencji z Hitlerem i Goeringiem w przeddzień, może nie przypadkowo, aneksji Austrii. Po drugiej wojnie światowej próbował znowu podejmować nici akcji dywersyjnej w krajach demokracji ludowej, objeżdżając je pod płaszczykiem prac UNRRA. Obecnie jeszcze występuje czasami przybrany w togę Katona, wołając „ceterum censeo... Związek Radziecki powinien być zniszczony".

OMAWIANY tom pamiętników Hoovera obejmuje jego działalność polityczną w okresie pierwszej wojny światowej, aż do Traktatu Wersalskiego włącznie. Najciekawsze są dla nas rozdziały omawiające aktywność kierowanej przez Hoovera organizacji „Pomoc i Odbudowa Europy" (The Relief and Reconstruction of Europe).

Po zawieszeniu broni, rządzący politycy brytyjscy i francuscy pragnęli wykorzystać klęskę Niemiec i chwilowe osłabienie Rosji dla ugruntowania kontroli gospodarczej świata przez obóz zwycięski. Zdawali sobie sprawę, że wojna dała największe korzyści ekonomiczne monopolistom amerykańskim, którzy wkroczyli już wówczas zdecydowanie na drogę walki o hegemonię światową. Francuzi i Anglicy chcieli więc zaszachować swego partnera zza Oceanu, proponując stworzenie miedzysojuszniczego komitetu ekonomicznego, który by rozstrzygał wszystkie zasadnicze sprawy organizacji gospodarki światowej, a w szczególności aktualne wówczas problemy zaopatrzenia i odbudowy zniszczonej przez wojnę Europy. Dążyli w ten sposób do ograniczenia swobody ruchów konkurentów amerykańskich i do zmuszenia ich, aby w planach wspólnej działalności uwzględnione zostały ich własne interesy.

W Londynie trwały zaciekłe dyskusje międzysojusznicze w tej sprawie. Strona amerykańska, świadoma swej przewagi gospodarczej nad osłabionymi wojną sojusznikami nie chciała się zadawalniać rolą zmajoryzowanego partnera i brutalnie zamanifestowała, że współpracę rozumie tylko jako dyktowanie swych warunków i woli. Na konferencjach tych jako rzecznik interesów rządu amerykańskiego wystąpił delegowany przez Wilsona do Europy Hoover.

Sposób argumentacji Hoovera był bardzo charakterystyczny dla metod politycznych imperializmu amerykańskiego. Zaatakował on rządy brytyjski i francuski, oskarżając je, że służą zaborczym celom swych szowinistycznych kapitalistów, a deklamując na każdym kroku o rzekomo bezinteresownej i wspaniałomyślnej chęci Stanów Zjednoczonych okazywania pomocy głodującym w Europie, przeciwstawił projektom powołania międzysojuszniczego komitetu ekonomicznego stworzenie czysto amerykańskiego komitetu „Pomocy i Odbudowy".

Nie brak w pamiętnikach Hoovera wyraźnych wskazówek co ukrywało się pod „idealistycznymi" motywami tego kroku. Czytamy w nich tekst listu Hoovera do Wilsona, stwierdzającego, że należy nie

(Dokończenie na str. 9)

*) The Memoirs of Herbert Hoover — Years of Adventure 1874 -1920, New-York 1951, str. 496.

Warszawska krata

DOMINIK HORODYŃSKI

WRZESIEŃ. Początek polskiej jesieni i babiego lata. Miesiąc wspomnień osobistych i narodowych, miesiąc oświadczeń i deklaracji. Miesiąc w którym — długo jeszcze — każdy Polak przez chwilę zastanowi się nad losem własnego kraju.

Wrzesień 1952 . Dla nas, warszawiaków, ósmy już wrzesień odbudowy. O ileż radośniejszy niż trzy, cztery lata temu, bo naszą pracą i na naszych oczach odbudowa przekształciła się w budowę, w pełne rozmachu wznoszenie pięknej Warszawy jutra.

Wrzesień 1952. Dla wszystkich Polaków czas wspólnego rozważenia i przemyślenia tych spraw, które przed całym narodem postawił Manifest Wyborczy Frontu Narodowego. Spraw prostych i jasnych, bynajmniej nie nowych, lecz ważkich bardzo i dlatego przez tak szerokie grono ludzi przedłożonych narodowi, by wszyscy je raz jeszcze przemyśleli i przedyskutowali, by przyjęli je za swoje nawet ci, którzy dotychczas nie mogli jakoś dostatecznie dobrze zrozumieć drogi Polski Ludowej, by sprawy te stały się własnością wszystkich Polaków i przez wszystkich wspólnie były realizowane.

✶

W tym to wrześniu, przed paroma dniami, czekałem na autobus w Alejach przy rogu Pięknej. Setka nie nadchodziła, przysiadłem więc na chwilę na murku ogrodzenia najbliższego domu. Obserwując ulicę objąłem ręką kratę ogrodzenia. Gdy autobus nadjechał wstałem i machinalnie pociągnąłem dłonią po kracie. Odwróciłem się, bo zaskoczyło mnie, że żelazny pręt ma jakieś dziwne szczerby. Stałem przed ambasadą amerykańską.

Sam gmach ambasady jest odremontowany, natomiast ogrodzenie od Alei pozostało dawne i zniszczone: stara, przedwojenna krata warszawska. Przypatrzcie się jej kiedy! Każdy pręt tej kraty ma jeszcze dzisiaj, po tylu latach, ślady kul. Każdy pręt ma ranę, ten od granatu, tamten od broni maszynowej, niejeden złamany jest w połowie pociskiem.

Gdyby taka krata była w Paryżu czy Londynie pewnie spoczywałaby zaszczytnie w muzeum. Tutaj nikt nawet uwagi nie zwróci. Po prostu mniej okaleczona od innych, tamte już zmieniono na nowe a w tym domu nie.

Na ganku ambasady, o parę metrów za ogrodzeniem, stało dwóch rozrośniętych młodych ludzi w drelichowych ubraniach. Patrzyli pogardliwie na miasto żując gumę i spluwając przez zęby.

Kiedyś, w czasie wielkiej wojny z hitleryzmem, miliony sponiewieranych ludzi, miliony europejczyków, żarliwie wsłuchiwało się w słowa ówczesnego przywódcy ich narodu. Tylko dwa kraje, ZSRR i daleka Ameryka, mogły przynieść ocalenie ujarzmionym przez faszyzm narodom Europy. Wówczas, ten mundur na który teraz patrzyłem, był symbolem wyzwolenia.

Dzisiaj? — Dzisiaj jest synonimem tego wszystkiego z czym wówczas ludzkość walczyła. Jedni Koreańczycy mają tragiczną okazję zrozumieć to lepiej od nas, Polaków. Od nas, którzy codzień czytamy w gazetach i słyszymy przez radio, jak amerykańska władza w Niemczech zachodnich sprzymierza się z tymi samymi siłami, które tylekroć Polskę niszczyły i nie tylko z tymi samymi siłami społecznemi i politycznemi ale konkretnie z tymi samymi ludźmi, z ludźmi splamionymi krwią naszych najbliższych, z ludźmi którzy burzyli nasze miasta. Amerykańscy generałowie i politycy układają z niemieckimi generałami i przywódcami reakcji wspólne plany marszu na Polskę, ofiarowują Niemcom większą część naszego kraju, pomagają Adenauerowi w rozpętywaniu nastrojów szowinistycznych, szykują wojnę. I to wszystko jest prawdą. Niewiarygodną prawdą codziennego dnia imperializmu amerykańskiego i niemieckiego.

Z prawdziwą zadumą patrzyłem poprzez warszawską kratę na młodych Amerykanów. Mimo zewnętrznej elegancji wyglądali doskonale prymitywnie. To pewno nie ich wina. Tak ich wychowano, takimi kazano im być. Przysłano ich tutaj i powiedziano zapewne, że jadą do kraju wrogiego, do ludzi, którymi trzeba pogardzać, do miasta, które jest nędzną wioską przy drapaczach Chicago czy Nowego Jorku. Istotnie, miasto nie jest jeszcze wspaniałe I nic, ani sklepy, ani skromnie ubrani ludzie, ani samochody, których jest mniej niż w Nowym Orleanie czy St. Louis — całe tutejsze życie nie może im zaimponować. Mało w nim wspaniałości tego szczególnego gatunku, podług którego nauczono ich wartościować świat. Nie ma kolorowych reklam, nie ma milionerów ani strojnych utrzymanek i służby w wielobarwnych liberiach. Nie widać businessu.

Młodzi Amerykanie ponuro przyglądają się Warszawie i zdaje się im zapewne, że mają o niej słuszny sąd, że wszystko wiedzą o tej nieciekawej sprawie. Tymczasem nie rozumieją nic. Nic a nic ze spraw tego miasta, tego kraju i tych ludzi. Są tutaj obcy.

W ich bogatej ojczyźnie przed siedmiu laty — a w rok po zburzeniu Warszawy — wyprodukowano w Hollywood, tej duchowej kuźni projektowanego amerykańskiego świata, film o powstaniu warszawskim. Realizatorzy podjęli temat, który dotyczy jednej z największych tragedii w dziejach ludzkości. Będąc w Ameryce widziałem ogłoszenia tego filmu w prasie nowojorskiej. Brzmiały mniej więcej tak: „idźcie na „Powstanie warszawskie", najzabawniejszy obraz sezonu, publiczność tarza się ze śmiechu".

Młodzi Amerykanie z ganku ambasady przybyli do tej Warszawy, z której obrazu śmierci zarykiwali się może w kinach jakiejś Atlanty czy Sacramento. Przyjeżdżając myśleli może, że ujrzą coś na kształt ruin starożytnej Jerozolimy, tej starszej siostry Warszawy. A tu zwykłe zburzone miasto nad brzegiem szeroko rozlanej rzeki. Miasto zajęte pracą i odbudową.

Kraty przed własną ambasadą nie naprawili. Nie naprawili może dlatego, że jeśli w Europie ma być Korea, to — według zamierzeń układanych przez ich szefów wespół z niemieckimi kompanami — i tak całą Warszawę pochłonąć ma płomień.

Biedni, prości chłopcy zdają się nie mieć wątpliwości co do racji swej misji i nie przypuszczają nawet, że nie wiedzą nic o historii, że nie wiedzą nic o mieście, na które z taką niechęcią spoglądają.

Ich szefowie widzą przedstawicieli narodu polskiego w nieszczęsnych wykolejeńcach i zbirach, w takich, którzy zabili Martykę. Na takich ludzi stawiają, na nich budują swoje nadzieje. Tacy ludzie zgłaszają się do nich po protekcję, pomoc i rozkazy.

Warszawska krata zna smak kul innych niedoszłych zwycięzców. Jej pręty odbijały kule caratu, odbijały kule Hitlera. To cóż, że nie jeden pręt się złamał? — Co, poza krwawym śladem w historii, pozostało z potęg przemocy, które na nasze miasto wydawały wyroki śmierci? — Warszawska zaś krata, tak jak Warszawa, trwa.

NIECH się jej dobrze przyjrzą młodzi Amerykanie, niech się jej dobrze przyjrzą, nim dadzą z siebie zrobić wysłanników nowej próby przemocy. Ta krata, właśnie teraz we wrześniu, może powiedzieć im niejedno. Może powiedzieć, że nie ma takiej siły, która by żelazem i krwią potrafiła narzucić swą wolę temu miastu i temu krajowi. Takie to już dziwne miasto i taki kraj. Może powiedzieć, że dla Polski wrzesień, ten sprzed trzynastu lat nie powtórzy się już nigdy. Nie powtórzy się, ponieważ zmieniły się dzieje, zmienił się układ sił na świecie.

I jeszcze to, że o drodze ludzkości i narodów przesądzają rzeczy większe od bomb atomowych i koncernów zbrojeniowych.

Dominik Horodyński

Tomasz PETERS

tłum. z języka niemieckiego Z. L.

Choroba filozofii chrześcijańskiej

(Neotomizm a język epoki)

JEDEN z najwybitniejszych tomistów francuskich, dominikanin O. Sertillanges, pisał kiedyś, że tomizm tak powinien wyglądać w przyszłości jak rozwinąłby swoją filozofię św. Tomasz gdyby żył w naszych czasach. Sam O. Sertillanges był myślicielem o wielkim odczuciu prawdy, gdziekolwiek ją napotkał. Należał do tego typu umysłów, które — obdarzone talentem artystycznym — posiadały subtelne zrozumienie tego, co jest w procesie dziejowym duchem historji. I dlatego pojmował on tomizm nie jako zamknięty, skostniały, system filozoficzny, lecz jako sumę żywotnych zasad, które zdolne są ostać się w historii myśli ludzkiej.

Niewątpliwie ta wizja tomizmu była tylko wymarzonym obrazem. Wolno wątpić nawet, czy św. Tomasz, gdyby żył dzisiaj mógłby w swoim myśleniu być tak śmiały, jak pozwalały mu na to warunki jego epoki. Albowiem — nie starajmy się łudzić co do tego — w porównaniu z tamtymi czasami — myśl chrześcijańska jest bardziej zróżnicowana treściowo, ale za to mocniej ujednolicona formalnie. Można to wytłumaczyć tym, że wielość problemów, które świat stawia przed współczesnym chrześcijaninem nakazuje większe skoncentrowanie uwagi na zagadnienia podstawowe, aniżeli wtedy, gdy myśl chrześcijańska poczynała swoje poznanie filozoficzne, teologiczne, syntetyzować i porządkować w bezpośrednim kontakcie z naukami laickimi. Wówczas ten naturalny związek teologii z nauką świecką był zagwarantowany i przez to także, że kler właśnie skupiał przedstawicieli wszystkich nauk. Fakt ten nadawał wiedzy Średniowiecza znamię wielorako zróżnicowanej oryginalności, którą my dzisiaj zatracamy.

Gdy papież Leon XIII proklamował naukę św. Tomasza jako powszechną naukę Kościoła, działo się to w okresie przerażającego upadku myśli chrześcijańskiej tamtych czasów. Św. Tomasz był w świecie katolickim myślicielem tak wielkiej miary, że trzeba było pracy całych pokoleń, aby tomizm i nazewnątrz zyskał zrozumienie i uznanie, którym obecnie darzy się go w osobach poszczególnych przedstawicieli. Wspomnieć należy nazwiska takie, jak Rousselot, Sertillanges, Maritain, Gilson, Merehal oraz całą szkołę w Loewen, która swoje powstanie zawdzięcza dalekowzrocznemu organizatorowi nauki i księciu Kościoła, kardynałowi Mercier. I w Niemczech nauka Tomasza z Akwinu przeżyła swój renesans idąc raczej śladami hiszpańskiego tomisty Suareza. Poszczególni filozofowie scholastyczni występowali tu mniej jako samodzielni myśliciele, więcej jako raczej tworzący szkołę systematycy. Tak zresztą rzecz się ma z większością przedstawicieli nauki św. Tomasza w naszej epoce.

To, że istnieje coś takiego jak katolicka filozofia szkolna, na której kształcić się mogą całe pokolenia bez potrzeby zaczynania znowu wszystkiego od początku i szukania o własnych siłach żmudnej drogi ku prawdzie — jest faktem, którego nie wolno lekceważyć. Nad pogłębieniem rozumienia św. Tomasza pracowały długie generacje myślicieli, przyczem nie wolno zapominać, że i historycy myśli średniowiecznej jak Baenker, Ehrle, Grabmann współdziałali wybitnie w tym zakresie. Mimo tych wielkich osiągnięć nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że owej filozofii szkolnej zbywa na samodzielności i żywości, którą odznaczają się niektórzy myśliciele niechrześcijańscy naszych czasów i dzięki której — musimy to stwierdzić niezależnie od tego, co o nich sądzimy — przemawiają bezpośrednio do ludzi naszej epoki. Aczkolwiek trudno zaprzeczyć, że szkolna myśl tomizmu w ogólnym życiu umysłowym naszych czasów odgrywa istotną i nie dającą się pominąć rolę, trzeba jednak postawić pytanie, czy taki tomizm, który zadanie swoje ogranicza wyłącznie tylko do utwierdzania i przekazywania dziedzictwa przeszłości nie sprzeniewierza się swojej właściwej misji.

Dla sprawiedliwego osądu i sprawiedliwej oceny dzisiejszego tomizmu pamiętać należy, że filozofia w życiu wewnętrznym Kościoła odgrywała zawsze ważną rolę, ale nigdy nie odgrywała roli głównej. Filozofia była zawsze w stosunku służebnym wobec teologii i zasadniczo Kościół w ciągu stuleci posługiwał się różnymi systemami filozoficznymi w zależności od tego, jak potrafiły one naukowo wyrażać lub rozwijać prawdy objawione. Tak naprzykład ojcowie Kościoła przejęli wiele elementów platonizmu, co nie oznaczało wcale podniesienia platonizmu do rangi głównego ruchu filozoficznego. Nawet gdy św. Tomasz korzystał z usług arystotelizmu, czynił to nie tyle jako filozof ile jako teolog, (nawiasowo trzeba zaznaczyć, że jego arystotelizm był czymś w istocie swej różnym od arystotelizmu greckiego) Jeśli w ostatnich czasach Kościół postawił naukę św. Tomasza przed platonizującym augustynizmem, to uczynił to niewątpliwie dlatego, że tomizm okazał się w szczególny sposób przydatny dla zsyntetyzowania nauki teologicznej w uporządkowanej i w usystematyzowanej formie. Można przyjąć, że Kościół narażony we wzrastającym stopniu na ataki ze strony świeckiej czynił wysiłki aby swoich wiernych i — naturalnie — w pierwszej linii swoich teologów oraz filozofów ustawić w uporządkowanym szyku bojowym dla wzmocnienia własnej siły.

W tej sytuacji zadania filozofii zwężono do tego, by młodym teologom dostarczyć pojęć, których potrzebują oni do zrozumienia dogmatyki i wiemy dobrze, iż w ograniczonym czasie studiów istotnie nie można oczekiwać więcej, ani od wykładu filozofii w seminariach duchownych, ani od jej nauki w ramach innych teologicznych zakładów naukowych.

Nie występujemy przeciwko temu, iż teolog korzysta z usług filozofii, że — mówiąc innymi słowy — nie uprawia filozofii ze względu na nią samą. Bynajmniej. Jesteśmy przekonani, że musi tak a nie inaczej postępować, gdyż jakaś czysta filozofia jest dla chrześcijanina o tyle bezsensowna, o ile nigdy nie potrafi rozwijać się sama, o ile zdana na swoje siły popada w błędy.

Przewaga filozofów współczesnych nad filozofami dawnych epok polega na tym, że tamte w mniejszym lub większym stopniu zasadzały się na wierze w możliwość pełnego wyjaśnienia świata w kategoriach filozoficznych. Teologia współczesna — wierzyć by należało — nie powinna przejść obojętnie obok tego tak ważnego historycznie zjawiska, jest ono przecież nie małoważną podstawą i przesłanką dla głoszenia nauki chrześcijańskiej. Ale jeśli współczesna filozofia wypracowała dla siebie własny język i potrafi myśleć w kategoriach języka, który należy do naszej epoki, nasuwa się pytanie dlaczego teologowie nie dokonali tego by trud myślenia w tym także języku przyswoić i sobie. Tu właśnie — przynajmniej na pierwszy rzut oka — tomizm szkolny jest poważną przeszkodą, ponieważ język jego myśli należy do minionej już epoki.

Nie trzeba posuwać się tak daleko, aby każdemu językowi przypisywać wynikający z niego sposób myślenia. Niewątpliwie, myśl przerasta miarę wyrażalności języka. Jednak nie wolno zapominać, że każdy język ma swój sposób ukazywania, odkrywania tego co jest i w ten sam sposób w jaki odkrywa prawdy bytu może je ciągle przesłaniać. Im język jest lepszy tym doskonalej operuje obrazowymi wyobrażeniami. Wyobrażenie jest czymś w rodzaju *medium*, jest pośrednikiem w ukazywaniu tego co istnieje, chociaż jednocześnie ogranicza i warunkuje także to ukazywanie. A jeśli język jest czymś żywym, czymś ciągle rozwijającym się, to nie ulega kwestii, że wpływa na myśl ludzką, że jakoś ją określa. Poeci ze swym językiem wyprzedzają zawsze swoją epokę i ustalają świat wyobrażeń przez który przedziera się myśl.

Poeci są także tymi, którzy byt i świat przeżywają i poznają w taki sposób, w jaki nie przeżywa tego zwykły śmiertelnik. To czego inni nie mogą wypowiedzieć, u nich wypływa z głębi duszy, dla innych zamkniętej. To, co objawione zostało z głębi duszy, współzależy od sposobu wypowiadania tego, co jest. Tylko skażona oschłym racjonalizmem może przeoczyć tę prawdę, że duchowy proces poznania poczyna się w głębi ludzkich przeżyć i doznań i że wszelka myśl sprowadza się do miłości, która jest pojednaniem wszystkiego. W istocie tylko ten, kto kocha ludzi swego czasu wraz z ich doznaniami i cierpieniami, zrozumieć może w pełni ich język.

NIE brak myślicieli chrześcijańskich, którzy myśleli w kategoriach języka swojej epoki i cierpieli nad rozdwojeniem tej myśli w Kościele, która wyrażała się w języku już minionej i niezrozumiałej epoki. Jest rzeczą przerażającą, że właśnie ci myśliciele byli nie zrozumiani i traktowani podejrzliwie, że właśnie im tak mało okazano życzliwości w kościelnych sferach. Dla tego tu znowu wyrasta pytanie, czy język martwy nie kryje w sobie niebezpieczeństwa osłabienia lub nawet zabicia żywotności i bezpośredniości wypowiadającej się w nim myśli. Jest niemożliwością chcieć pominąć to naturalne medium, naturalnego pośrednika uświadamiania poznawania zjawisk. Jest niemożliwością obejść to medium drogą jakiegoś języka minionej epoki. Nie zaprzeczamy oczywiście temu, że język myśli minionego czasu może posiadać cechy bezpośredniości, gdy jest językiem mówionym. Ale kto dzisiaj może oddać w pełni tę bezpośredniość? Komu jest danym tak wżyć się w minione sytuacje historyczne, ażeby bez reszty zrozumieć uwarunkowany nimi sposób wyrażania się, ażeby myślenie określone tamtym układem sytuacji przeżyć na właściwej mu językowej płaszczyźnie?

Dlatego ucieczka chrześcijańskiej filozofii i teologii w obcy naszemu dzisiejszemu myśleniu sposób mówienia wydaje się nam podejrzana. Nie mało jest wprawdzie takich, którzy scholastyczny sposób myślenia uważają w dalszym ciągu za najwspanialszą formę myślenia filozoficznego w ogóle i na filozofię współczesną patrzą z góry pełni politowania. Ale właśnie ci scholastycy skłonni są tkwić na zawsze w swoim sposobie myślenia i skazywać się na całkowitą klęskę. Zamienili oni osiągnięcia swoich wielkich poprzedników historii na nietwórcze naśladownictwa.

Łatwo się zapomina, że do pełni procesu myślowego należy sformułowanie myśli we własnym, prawidłowym języku. Tam, gdzie się to nie udaje, okazuje się, że sama myśl jest jeszcze nie dojrzała, porusza się w sferze dalekiej od rzeczywistości, w sferze, w której schematy myślowe zastępują rzeczywistość nie mając możliwości kontrolowania własnych powiązań, nie mając zakotwiczenia w rzeczywistości. Jeśli więc żądamy od myślicieli scholastycznych aby się pokusili o wypowiadanie swej myśli w języku bardziej współczesnym, to nie chcemy przez to powiedzieć, że powinni oni tylko przekazaną im filozofię scholastyczną przetłumaczyć na język dzisiejszy lub spopularyzować jej założenia. Chcemy raczej, żeby przemyśleli problemy bardziej konsekwentnie, bardziej do końca i to w sytuacji, w jakiej znajduje się nasza dzisiejsza myśl, w otoczeniu zagadnień, które przed nami stawia nasze dzisiejsze życie, gdyż dopiero wtedy sami znaleźliby nowy język który byłby językiem naszym, nawet tam, gdzie szło by o wielkie kwestie metafizyczne. Zamiast tego jednak ich myśl porusza się wśród martwych wyobrażeń jakiegoś oderwanego świata, którego początek i powstanie jest już niewiadome.

Można by przeciwko temu powiedzieć, że przecież filozofia scholastyczna ciągle trudzi się nad tym, aby uwzględniać najnowsze osiągnięcia współczesnej nauki i włączać je w swój system myślowy. To bez wątpienia jest słuszne. Ale ten rodzaj asymilacji da się stosować zawsze tylko tak długo, jak długo podstawy tych różnych procesów myślowych są identyczne. A właśnie ta wspólnota podstaw staje się dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek problematyczna. Wiemy zbyt dobrze, jak dalece scholastyczne myślenie uwarunkowane jest przez różnorakie wyobrażenia, które z kolei są wynikiem sytuacji czy przeżyć, poprzedzających myśl w jej powstawaniu. Wizja świata i wyobrażenia o świecie, które uczestniczyły i warunkowały myślenie epok wcześniejszych, nie są już naszymi wizjami i naszymi wyobrażeniami, co zmusza nas do zbadania na nowo dawnych tendencji myślowych, chociaż by podstawowe, pryncypialne zasady myślenia zostały nie naruszone.

STWIERDZONO już wielokrotnie, że Kościół w swoich sporach z obcymi systemami myślowymi zawsze się spóźnia. Wiele czasu upłynęło, zanim filozofia i teologia wdały się w twórczy dyskurs z Kantem i Heglem. I dzisiaj także pokazuje się znowu jak nieporadnie i bez najmniejszego zaangażowania wielu katolickich filozofów zajmuje się filozofią współczesną. Ciągle postawa obronna jest postawą dominującą. Oczywiście, nie wszystko w tym, co zawiera myśl filozofów współczesnych nadaje się do zasymilowania przez myśl chrześcijańską. I krytyka nasza w najmniejszym stopniu nie dotyczy tych, którzy zawsze chcą kroczyć na czele myśli współczesnej z jej najnowszymi zdobyczami. Chodzi tu przede wszystkim o jakość filozoficznej wymiany sądów, o sposób wnikania w obcy system myślowy, a tu, niestety, bardzo często daje się zauważyć jakieś skostnienie u scholastycznych myślicieli współczesnych, skostnienie, które odbiera im możność żywego, bezpośredniego myślenia, a tym samym odbiera im i możność rzetelnego poznania obcej myśli, poznania nawet wtedy koniecznego, gdy myśl tę trzeba odrzucić jako błędną. Dopiero jednak po rzetelnym zrozumieniu tej myśli można wywód przeprowadzić tak, że uchwyci on i zaatakuje istotę błędu, zamiast w sposób czysto formalistyczny wygrywać jedno sformułowanie przeciwko drugiemu.

Formalistyczne traktowanie zjawisk stało się w filozofii scholastycznej cechą dominującą, podczas gdy w rzeczywistości jest to coś drugorzędnego. Najczęściej przesłania ono problemy istotne problemami pozornymi i staje się w ten sposób igraniem z myślami, co wyklucza właściwą powagę myślenia. A byt w swojej jedynej i wielowarstwowej rzeczywistości żąda od nas myślenia głębokiego. Nie można się od tego uchylić, trzeba ciągle myśl czujnie napinać, ciągle strzec jej zgodności

(Dokończenie na str. 9)

Legenda o żonie Św. Aleksego

Powróciłeś z chwałą w twej sieci,
w chórze aniołów...
K. Iłłakowiczówna
(Opowieść małżonki św. Aleksego)

Dzwony biły same
w godzinę Twojej śmierci,
a w złotej tiarze Duch Boży
ogłaszał Twój testament.

Szedłeś po drodze zbawionej
święty, dostojny i pierwszy.
...Jako mnie do Ciebie
przyrównać się godzi?...

Twoje stopy po jasnych polach
wędrowały bose.
Ustom jeden hymn dano,
włosy wiatr kołysał...
a ptaki Cię prowadziły wiosną,
a Bóg Twój głos słyszał.

A ze mnie w Twoim łożu
samotnej latami
opadał wdzięk
— I było tak pusto...
Usta całowałeś moim i łzami —
jedynej miłości trzeba było usnąć.

A moim ramionom
wieczny niesyt głodu,
oczy wyżarte czekaniem
i smutnym też deszczem.
Krzyczałam po nocach
przeciw Tobie i Bogu:
„Słyszysz, ja nie chcę, nie chcę!“

„Tyś klęczał pod drzewem różowym,
rozłożyłeś ręce; dziewięć klęczałeś godzin,
słońce cieniem się kładło na Twą głowę...
Nie opuszczał Cię Bóg —wszędzie z Tobą chodził.

A ja ręce gryzłam
dane na Twoją pieszczotę...
Zeschły mi piersi,
opadły puste jak po śmierci.
...I cóżeś ze mną uczynił, o święty?!
O Aleksy, Aleksy, Aleksy...

BARBARA GRUBNER—EYSYMONTT

Maria KOWALSKA

Powieść dla szukających drogi

NIE łatwo jest zabrać głos w dyskusji nad książką, jeżeli się nigdy dotąd nie pisało recenzji i nie formułowało swoich sądów na piśmie. Papier ma moc zaczarowanego lustra, słowa kamienieją, trudno im nadać wewnętrzną treść przeżytych myśli i powiązać je w logiczną całość, która by miała głowę i nogi. Mimo to spróbuję sformułować parę uwag, jakie mi się nasunęły po przeczytaniu książki Janiny Kolendo „Szukając drogi" i artykułu Z. Lichniaka w 31 numerze „Dziś i Jutro".

Każdy żyjący współcześnie, uczciwie myślący katolik stara się znaleźć jedynie słuszną i pewną drogę wśród labiryntu zagadnień wynikających z przeobrażeń dokonywanych w związku z rewolucją socjalną kierowaną przez marxistów. Katolicyzm jest prawdą żywą i jak każda taka prawda ma w sobie zdolność poszerzania i pogłębiania swej zawartości, jeżeli tylko człowiek szczerze i wytrwale szuka, a co najważniejsze, nie uchyla się przed przyjęciem na siebie konsekwencji dokonywanych odkryć. Nie lekkie to zadanie. Doceniali tę trudność pisarze katoliccy, ukazując nam w swoich utworach ludzi łamiących się z własnymi słabościami. Wydaje mi się jednak, że nie tu kończy się rola literatury katolickiej. Nie czuję się powołana do omawiania takiego, a nie innego stanowiska twórców katolickich wobec problematyki współczesnej, tym niemniej słuszne wydaje mi się twierdzenie Z. Lichniaka, który m. in. przyczynę takiej postawy widzi „w braku poczucia odpowiedzialności moralnej, pojmowanej w kategoriach odpowiedzialności społecznej." Dla złagodzenia tego zarzutu należy przytoczyć próby podjęcia tematyki wielkich przełomów w powieściach historycznych (np. „Klucz mądrości" Dobraczyńskiego). Jest to jednak o wiele za mało. Nie myślę kwestionować słuszności tezy o istnieniu elementów ponadhistorycznych w sztuce, ani walczyć z twierdzeniem, że nie ma rozróżnienia pojęć tematyki współczesnej, i niewspółczesnej, ale jako jedna z szarego kręgu czytelniczek literatury katolickiej mogę powiedzieć na podstawie obserwacji, że szyfrowane rady wcale nie są najskuteczniejsze, przeciwnie, często źle zrozumiane prowadzą do niewłaściwych wniosków.

Proszę nie traktować mojej wypowiedzi jedynie jako zamówienia społecznego na literaturę katolicką opartą o tematykę współczesną. Doceniam wielką wartość powieści historycznej. To jednak nie wystarcza. Odwołuję się więc do katolickich twórców z prośbą o podawanie pomocniczej dłoni wszystkim szukającym drogi w gąszczu współczesnych zagadnień poprzez jaknajwiększą ilość utworów podejmujących problematykę doby obecnej.

Ten apel dziś już nie jest z pewnością przedwczesny. Debiut pisarski J. Kolendo przełamał uparte milczenie wokół najbardziej zasadniczych problemów, które każdy katolik powinien przemyśleć. Umiejmy ocenić wagę tej bezsprzecznie nowej i odważnej postawy pisarskiej. Myślę że powieść „Szukając drogi" zyskała autorce wdzięczność nie tylko moją, ale w ogóle czytelników literatury katolickiej.

Teraz parę słów, które mi się nasunęły w związku z samą powieścią. Nie wiem czy wnioski jakie z niej wyciągnęłam będą zgodne z zamierzeniami autorki. Myślę jednak, że nie przekroczę granic subiektywnego odczuwania.

Odnośnie samej koncepcji wydaje mi się, że w motywacji rozejścia się małżeństwa Kremerów, autorka kładzie nacisk nie tylko na różnice światopoglądowo-filozoficzne, ale również na wzajemny brak szacunku w stosunku do postawy ideologicznej. Katolicyzm Leny „dotyczący granic, a nie wypełniający nic z tego co te granice zamykają" jak to ona sama w rozmowie z Januszem określa, nie mógł budzić w Piotrze szacunku, a jej brak woli w ocenie osiągnięć rewolucji socjalistycznej i nieuzasadnione potępienie w czambuł wszystkiego co w ideologii Piotra było dla niej niezrozumiałe i obce, murem pogardy odgrodziło ją od Piotra. Ostatecznie Kremerowie znajdują wspólną platformę, mimo iż Piotr pozostaje marksistą, a Lena katoliczką. Brak porozumienia musiał więc mieć również inne przyczyny, Jakie? Co się właściwie zmieniło? Co skłoniło Lenę do rewizji swojej postawy ideologicznej? Na to pytanie może nam dać odpowiedź ciekawy i dla wielu typowy proces wewnętrznego dojrzewania Leny.

Autorka dostrzegła często spotykane wśród katolików zjawisko przeradzania się przekonania o tym, że się posiada Prawdę, na przekonanie o własnej wyższości moralnej. Tej chorobie uległa również Lena. Dopiero kiedy dostrzegła braki we własnej postawie moralnej, zdobyła się na dobrą wolę i pozbawioną uprzedzeń ocenę dokonywających się wokół niej przemian społecznych, gospodarczych i politycznych.

„Zaczęłam dostrzegać, co w twojej niechęci do mojego światopoglądu tę niechęć usprawiedliwia. Przyszło moralne poczucie, że trzeba przeanalizować dawne wartości ideowe i polityczne i przede wszystkiem ich skutki" — mówi Lena w końcowej zasadniczej rozmowie z Piotrem. Kilka wierszy dalej skarży się: „I pomyśl, jak mi jest ciężko, kiedy zdaję sobie dokładnie sprawę, że każdy mój upadek w twoich oczach obciąża mego Boga. Mój upadek, nie tylko mój, nas wszystkich, którzy Go chcemy wyznawać". To wystarczy, by sobie zdać sprawę z tego, co zadecydowało o wewnętrznej przemianie Leny i pomogło jej znaleźć wspólny cel z Piotrem: dobro ludzkie. Lena dorasta do nowej rzeczywistości społecznej poprzez poszerzanie, wypełnianie treścią, a przede wszystkim uaktywnienie swoich pojęć religijnych. Nie myślę tego wniosku uogólniać, tym niemniej wydaje mi się, że taka właśnie linia rozwoju, przez pogłębianie katolicyzmu do przebudowy pojęć społecznych jest dla wielu typową.

Bezsprzecznie poważnym niedopatrzeniem jest pozostawienie Leny w szczytowym punkcie rozwoju bez wyznaczenia jej czynnej roli w pracy nad przebudową sytuacji wewnątrz-katolickiej. Dla Leny z nowej postawy ideologicznej nic nie wynika prócz przekonania o słuszności wniosków, do jakich w trudzie przemyśleń doszła. Nie narzuca się jej konieczność apostolatu. Wynika to — jak już podkreślał Z. Lichniak — z osamotnienia Leny, z braku konkretnego, właściwego jej środowiska. Fakt ten ma poważne konsekwencje. Brak otoczenia, z którym Lena byłaby silnie związana upraszcza i ułatwia jej wewnętrzny rozwój. Obca jej jest obawa konfliktu z otoczeniem, stąd brak wahań, słabości i zahamowań, które by w związku z tym musiały powstać.

Prócz tego formowanie się nowych pojęć Leny i jej postawy wobec osiągnięć społeczno-gospodarczych jest za mało poparte faktami. Jedyne sytuacje powieści uzasadniające przewrót w poglądach Leny to: zetknięcie się z emigracją i spacery wzdłuż Trasy. Stąd jej przejście na nowe pozycje ma charakter deklaratywny..

Motywacja nowego spotkania Kremerów jest mało przekonywająca. Spotkania Kremerów, jeżeli nie odmówić im realizmu i nie dopatrywać się w nich cudownych przypadków, mają wyraźny odcień zainteresowania erotycznego (Londyn, Zakopane). O powrocie decyduje nawet nie noc w Zakopanem, ale dopiero jej skutki, Ten rozwój faktów osłabia wymowę powrotu Leny do Piotra jako wyniku jej wewnętrznej przemiany ideologicznej. Rozmowa Leny z Tadeuszem w Krakowie, w której autorka wysuwa właściwe motywy decyzji powrotu, brzmi dość nieprzekonywająco. Przecież Lena napisała list do Piotra i czekała na niego, a więc miała zamiar powrócić.

Za bardzo wyidealizowana wydaje mi się również Margit w scenie rozstania z Piotrem.

Mimo tych zastrzeżeń powieść porywa. Wiele zarzutów jak np. brak szerszego tła, czy nagromadzenia problemów idzie na karb nie tyle autorki, ile objętości samej książki. Pełna życia akcja i wspaniały język zachęcają i ujmują czytelników. Dialog żywy, dowcipny, zwarty, nie zawiera zbędnych słów, ale najkrótszą drogą dochodzi do sedna sprawy. Szereg słusznych spostrzeżeń rzuconych jakby mimochodem, a godnych uwagi i mogących wyróść do wielkich problemów rozpala zainteresowanie, które czasami aż nuży, tak bardzo trzyma czytelnika w napięciu, Chciałoby się przeczytać powieść jednym tchem, tymczasem coraz to nowe problemy wyrastające z kart książki zmuszają do uwagi i wstrzymują w zapędzie. Nagromadzenie problemów zdaje się być równocześnie wadą i urokiem powieści.

Twórczość katolicka powinna wystąpić do walki z biernością, z brakiem poczucia odpowiedzialności za moralne oblicze dokonującej się przemiany w stosunkach społecznych, w przebudowie psychiki człowieka, z odżegnywaniem się od współudziału w popełnionych błędach. Autorka wystąpiła do tej walki odważnie i z zapałem. Zwycięski debiut J. Kolendo budzi nadzieję, że za jej przykładem pójdą inni. Czytelnicy czekają.

Adam PANKOWICZ

Oczyma czytelnika

W TRZECH recenzjach*) powiedziano o debiucie pisarskim Janiny Kolendo wystarczająco dużo, żeby wielu czytelnikom odebrać śmiałość do odezwania się w dyskusji po fachowcach. I to tym bardziej, że recenzenci z miejsca zajęli pozycje przeciwstawne: M. Kurzyna i Z. Lichniak ocenili książkę mimo jej wszystkich słabych stron dodatnio, Z. Starowieyska-Morstinowa mimo wszystkich zalet — raczej ujemnie. Każdy więc następny dyskutant ryzykuje, że zależnie od tego, jaki będzie wynik jego własnej oceny, ulegnie sugestii patrzenia na sprawę oczyma jednej lub drugiej strony.

DWA SPOJRZENIA

ZARAZEM jednak ten sam układ wskazuje, w jakim kierunku otwierają się perspektywy wniesienia pewnego novum do zapoczątkowanej dyskusji. Pierwsze wypowiedzi pochodzą z tego samego środowiska, z grona najbliższych towarzyszy autorki. Nie pozostało to bez skutku: szeroko nakreśloną genealogię powieści wywiedli oni najwyraźniej ze źródeł leżących *poza tekstem*, a następnie w *tekście* prześledzili realizację ambitnych zamierzeń autorki, wysumowali i zbilansowali. Któż lepiej od nich mógł wiedzieć, o co autorce chodziło i ocenić, co z tego wynikło? Równo w trzy tygodnie po Lichniaku surowy sąd weterana literatury i krytyki wydała Z. Starowieyska-Morstinowa. To nic, że surowy; ale uderza tu, jak świetnie również recenzentka Tygodnika Powszechnego jest zorientowana, co autorka *chciała* napisać, a zwłaszcza jak doskonale wie, że właśnie tych *zamierzonych* osiągnięć w powieści nie ma.

Żeby nie być gołosłowny, cytuję dwa urywki, wyznaczające cś recenzji: „...autorka... powiedziała sobie: tam do licha! Ja im pokażę. Uderzę w asa coeur, w sedno sprawy, w sedno wszystkich dzisiejszych zagadnień." I dalej: "...nie otrzymujemy tej konkluzji, jaką autorka *niewątpliwie* (podkreślenie moje) dać zamierzała, jaka była zasadniczym celem książki..." Wśród końcowych zaś ocen znajdujemy takie zdania: „Na początku widzimy jakąś dość solidnie zapowiadającą się konstrukcję. Potem już tylko wielki pióropusz dymu rozwiewającego się na wietrze". Obrazowość ich jakoś nieodparcie kojarzy się z nie tak znów dawną sprawą „Skraplania mgły". Jeżeli zestawić powyższe cytaty ze wstępem artykułu Lichniaka, gdzie przypomina on kampanię prasową „...o włączenie literatury katolickiej w nurt wielkiej przemiany..." — budzi się domysł, że punkt ciężkości trójgłosu recenzentów leży w sferze zagadnień bardziej ogólnych, niż konkretny przypadek jednej książki. Wymiana poglądów staje się fragmentem rozmowy prowadzonej już od dawna, odbywa się na płaszczyźnie poza tekstowej, niejako ponad omawianą książką.

Czytelnik jednak ma prawo swój stosunek do książki kształtować inaczej, a to mianowicie z dwóch głównych powodów:

Po pierwsze — nie jego domeną jest zestawianie wiadomych a priori zamierzeń autora z ich realizacją. Wiedza czytelnika o książce może się nawet ograniczyć do tego tylko, co mówi mu sam tekst — a i wtedy będzie już wystarczającą podstawą do budowania własnego sądu. Co prawda ryzykuje się tym sposobem wiele uproszczeń, nieuniknionych zresztą wszędzie tam, gdzie stajemy wobec siatki skomplikowanych zagadnień. Ryzyko to jednak kompensuje większa świeżość i bezpośredniość spojrzenia, nie zagrożona przez działanie ubocznych mechanizmów, np. choćby wspomnianej wyżej polemiki fachowców.

Po drugie, czytelnik biorąc książkę do ręki, zawsze czegoś się po niej spodziewa, czegoś od niej wymaga. W jakiś sposób, choćby nawet częściowo bezwiednie, przymierza ją do rzeczywistości własnego życia, wplecionego w mniej lub bardziej szeroki kontekst społeczny. Wynik tej „przymiarki" w znacznym stopniu przesądza o ostatecznej ocenie. Tak kształtują się w skali jednostkowej elementy zamówienia społecznego; że zamówienie to nie zawsze leży na jednej linii z postulatami krytyki literackiej, to fakt znany i nie dający się lekceważyć. Zrozumieniu dla tych spraw dała wyraz nota redakcji Dziś i Jutro, zapraszająca do udziału w dyskusji najszerszy krąg czytelników.

Na wezwanie to postaram się odpowiedzieć z powyżej określonej pozycji czytelnika, mimo że w konkretnym wypadku niżej podpisanego lekturę książki poprzedziło zapoznanie się z artykułami Kurzyny i Lichniaka, a w czasie czytania „przymierzałem" do niej recenzję Z. Starowieyskiej-Morstinowej. Postaram się jednak uratować świeżość spojrzenia czytelnika . Wracam zatem do tekstu

DROGA ODNALEZIONA CZY POSZUKIWANA?

PIERWSZĄ rzeczą, jaka w tej książce uderza, jest niewątpliwie ogromny ładunek różnorakich elementów treściowych. Dwa światopoglądy, przeciwstawne sobie siły polityczne, perypetie małżeńskie, kraj i emigracja, dom, szpital i kościół, twórczość artysty i konserwacja zabytków, praca i urlop w górach — wszystko to i wiele jeszcze innych rzeczy ubito ciasno na 231 stronach. Nie widać jednak — jeżeli się o niej nie wie z innych źródeł — zamierzonej przez autorkę „powszechności" tematycznej, planu wprowadzenia i rozstrzygnięcia wszystkich niemal problemów naszej skomplikowanej epoki. Raczej przeciwnie — wygląda na to, że samo życie wtargnęło niejako przemocą na karty książki, by zaprezentować tam całą swoją złożoność. Nie tylko przed czytelnikiem — przed samą autorką otworzył się wielopłaszczyznowy labirynt, wymagający niemało odwagi, by pójść i w jego gąszczu szukać drogi. Czyjej i jakiej drogi? Nie od razu można odpowiedzieć.

W książce staje naprzeciw siebie stare i nowe: świat, z którego wyszła Lena i świat, który w szeregach towarzyszy buduje Piotr. Autorka jednak nie skupia swej uwagi ani tu, ani tam, tylko na tym pasie rzeczywistości, który stanowi przestrzeń styku dwóch epok. Nie sugerujmy się datami: przełom następuje w świadomości człowieka, a ta nie poddaje się miarom kalendarzowym. Tu nie zawsze „znać, że jest rok czterdziesty ósmy". Droga, o której mówi tytuł, jest właśnie drogą od starego ku nowemu. Z takiego usytuowania problemu wynika jasno, o *czyją* drogę chodzi. Piotr już przed rozpoczęciem akcji powieści całkowicie i od dawna żyje w nowym świecie; Lena w siódmym rozdziale części pierwszej tkwi jeszcze właściwie w starym. Więc na pierwszym planie droga Leny. W każdym razie przede wszystkim Lena dźwiga ciężar szukania. Po stronie Piotra, chcącego wrócić do żony, potrzebna jest w gruncie rzeczy tylko pewna doza zwyczajnej ludzkiej wyrozumiałości dla wad i pewien szacunek dla nie uznawanych poglądów drugiego człowieka. Przed Leną piętrzy się istna góra zagadnień.

Nie ma potrzeby powtarzać ich za autorką i recenzentami. Chodzi o co innego. Chodzi o moment dojścia, o tę „konkluzję, którą (według Z. Starowieyskiej-Morstinowej) autorka niewątpliwie dać zamierzała". Konkluzji tej nie znajdujemy. Bo jeżeli Lena świadomie dopracowała się swego katolicyzmu, jeżeli z niego dla niej *zaczyna coś wynikać*, nie znaczy to jeszcze, że tą postawą nic w przyszłości nie zdoła zachwiać, że bohaterka nie przeżyje żadnych więcej okresów słabości. Jeżeli *zgodziła* się (deklaratywnie!) na rewolucję, nie stawia jej to jeszcze w szeregach rewolucji. Nię umiemy nawet przewidzieć, czy nie odezwą się wpływy dawnego środowiska klasowego, nie zamącą jasności spojrzenia na rzeczywistość, czy nie przyjdą momenty zniechęcenia a nawet ostrej niechęci. Jeżeli zdobyła się w stosunku do Piotra na duży zasób dobrej woli, pozwalający na wspólne życie mimo wszystko, co ich dzieli — nie otrzymujemy przez to najmniejszej gwarancji, że to dalsze życie Kremerów będzie sielanką bez usterek i zasadniczych nieporozumień.

I kto wie, czy Lichniak w swej recenzji nie oddał autorce i książce niedźwiedziej przysługi, zapewniając czytelników o odnalezionej drodze. Bo może właśnie tym wywołał ripostę Starowieyskiej-Morstinowej że choć Lena przy kaganku „Dziś i Jutro" nie widzi trudności, czytelnicy nie podzielają jej optymizmu. Tymczasem Janina Kolendo tego właśnie, co wkłada w jej usta Lichniak, w powieści nie wypowiada. I słusznie, bo gdyby tak zrobiła, to — wiedząc, że życie nie jest sielanką a człowiek aniołem — mielibyśmy prawo po prostu, po ludzku nie wierzyć.

Nie uprzedzony czytelnik może natomiast odczytać z tekstu co innego: oto niewątpliwą zdobyczą — Kremerów, bo i Piotra też, ale przede wszystkim Leny — jest pierwszy, generalny drogowskaz, wskazujący wyjście z błędnego kręgu, wniosek z wszystkich ich dotychczasowych przemyśleń. Od tego drogowskazu pójdzie dopiero ich dalsza droga, na pewno niełatwa, z namysłem i wyborem przed każdym krokiem. Ale — możemy wierzyć — wspólna. Żywo wraca na pamięć komentarz autorski ze strony 110: „...w gruncie rzeczy niewiele znaczy decyzja; dopiero, kiedy ją rozmienić na wiele chwilowych postanowień, zależnych od coraz to

(dokończenie na str. 6)

---

* M. Kurzyna: W oceanu spraw nie tylko Leny i Piotra, Słowa Powsz. nr 176.
Z. Lichniak: Na odnalezionej drodze, Dziś i Jutro nr 31.
Z. Starowieyska-Morstinowa: Czołgiem w literaturę, Tygodnik Powsz. nr 34.

M. van der MEERSCH

tłum. Krystyna BYCZKOWSKA

ŚW. TERESA Z LISIEUX

Poniższe fragmenty pochodzą z książki M. van der Meerscha „La petite Sainte Therese". Książka ta ukazała się we Francji w 1945 r., wywołując ogromne zainteresowanie. Spotkała się ona także z szeregiem zarzutów, przede wszystkim z kół zbliżonych do Karmelu z Lisieux. Zarzuty te dadzą się sprowadzić do tego, że powieść, której nikt nie odmawia olbrzymich walorów literackich i religijno-wychowawczych, nie mówi o prawdziwej św. Teresie, gdyż opiera się na nieścisłych relacjach spowiednika karmelitanek z Lisieux, O. Urbana, kapucyna. Dyskusje na ten temat ciągnęły się przez kilka lat. Pisał o nich rok temu Jan Dobraczyński w „Tygodniku Powszechnym".

REDAKCJA

„Święta Teresa — czyli w pogoni za świętością" — to byłby dobry tytuł dla pracy o jej życiu! W tych paru bowiem słowach zawiera się szkicowa charakterystyka bogatych i różnorodnych przeżyć wewnętrznych naszej świętej.

Nie można norm logicznych stosować do historii rozwoju duszy. Już w małym dziecku tkwi cały przyszły człowiek. Do celu naszego idziemy poomacku, czasem otaczające nas ciemności nagle się rozpraszają, i w tym błysku światła, krótkim, jak mgnienie oka, spostrzegamy — a raczej przeczuwamy — drogę, na którą kiedyś wkroczymy i prawdy, które nam się odsłonią za wiele może lat.

Dopiero u schyłku swego młodego życia pojmie Teresa jasno, że nie można gruntownie zmienić swej natury. Ale już mając lat 16, pisze do Celiny:

„Cóż z tego, że upadam na każdym kroku? Poznaję przez to całą moją słabość i wyciągam z tego wiele korzyści. Jeżeli zniesiesz w spokoju próbę niezadowolenia ze siebie, dasz Boskiemu Mistrzowi słodkie schronienie w swym sercu".

W tym zdaniu zawiera się cała filozofia Teresy.

Człowiek, który zna siebie do głębi, nie może siebie kochać. Zbyt dobrze wie, ile zła kryje jego serce. Ale również nie gardzi sobą, ani się nie potępia. Wrodzona niedoskonałość natury ludzkiej — choroba nieuleczalna — jest mu bodźcem do walki. A walcząc — zdobywa sobie zasługi... Nie czuje też nienawiści do innych ludzi. Wie, że są oni — jak i on sam — upośledzeni raczej niż odpowiedzialni, godni raczej miłości niż pogardy. I dochodzi taki człowiek do owej pobłażliwości, do stanu duchowego — tak charakterystycznego dla świętych, a dla nas niezrozumiałego: jest pokorny, szczerze przekonany o swej nicości, zdumiony gdy ktoś temu przeczy, ale zarazem nie ma w nim cienia zgorzknienia czy rozczarowania. Bo gorycz, rozczarowanie, to jeszcze jeden objaw pychy, która marzyła o zwycięstwie, a zżyma się poniósłszy porażkę.

Święty nie łudzi się, że można odnieść nad sobą walne zwycięstwo, zwycięstwo ostateczne. Nie wpada w gniew na widok swego upadku. Po prostu stara się znosić cierpliwie swą niedoskonałość i z ułomności wyciągnąć możliwie największe korzyści. W stosunku do słabości ludzkich święty jest przenikliwy, ostrożny i zarazem pełen współczucia i życzliwości. A nade wszystko jest pełen ufności w Boga. Wie bowiem, że dokonał wielkiej rzeczy: uznając swą nicość, wkroczył do królestwa Prawdy. Tam otwiera się nieograniczone pole do działania i możliwość zdobycia największych zasług: nie walką wręcz z instynktami, lecz cierpliwością, stałą introspekcją, unikaniem okazji do grzechu (bo wiadomo jak łatwo można ulec pokusie), a gdy się nawet jej ulegnie, stwierdzenie tego upadku nie wywołuje rozpaczy, bo zna się swą niedoskonałość. Jeździec, który staje do zawodów i ma wadliwą uprząż, może przecież dojechać do mety pod warunkiem, że zna wady tej uprzęży i umie się nią odpowiednio posługiwać. A jeśli nawet do celu nie dotrze, to i tak nie ma znaczenia, bo w tych dziwnych „zawodach" brany jest pod uwagę jedynie wysiłek.

W ten sposób święci godzą rzeczy, zdawałoby się nie do pogodzenia: nieufność i zaufanie, pokorę i godność, trzeźwość i optymizm, jasny sąd o ludziach z miłością do ludzi, ciężar przeznaczenia z wiarą w skuteczność wysiłku i możliwość zdobycia zasługi.

U schyłku swego krótkiego życia nieraz pewno uśmiechała się Teresa wspominając swe młodzieńcze marzenia o świętości — ambitne i naiwne zarazem. Nieziszczalne sny o wzniosłej doskonałości. Mimo to nie przestawała powtarzać:

„A jednak mam nadal nadzieje, że zostanę świętą". Bowiem świętość — zapamiętajmy sobie to, co Teresa tak dobrze zrozumiała — świętość przystosowuje się do całej nędzy, całej niedoskonałości naszego serca. Jest dostępna dla wszystkich: dla zepsutych, dla upadłych, pod jednym tylko warunkiem: że zdadzą sobie sprawę ze swej słabości i że będą walczyć, nie oglądając się na zapłatę.

Nikt przed Teresą, nie dał nigdy tak śmiałej, jasnej i tak pokrzepiającej interpretacji słów Chrystusa:

„Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie".

*

ZREASUMUJMY co jest wiadome o tym niezwykłym życiu. Widzimy najpierw „małą królewnę", dziecko wybitnie zdolne, bardzo pewne siebie i niezwykle uparte. Przesiąknięta wysoce religijną atmosferą rodzicielskiego domu. Teresa za cel życia postawiła sobie świętość. Szuka „znaków", czyta je w gwiazdach... Marzy o bohaterskich czynach. Idzie za głosem powołania z silnym postanowieniem dokazania cudów ascezy i zdobycia świętości — jeśli tak rzec można — siłą. Od samego jednak początku słabość fizyczna nakreśli jej w tym względzie bardzo ciasne granice. Teresa musi uznać swą bezsilność i zrezygnować ze swych zamiarów. Odkrycie, które niewątpliwie było powodem wielkiej rozterki duchowej naszej przyszłej świętej. Wówczas to zjawia się Matka Genowefa: jej dojrzała mądrość wskazuje Teresie właściwą drogę: drogę nieefektowną, lecz pewną: posłuszeństwo, zupełne podporządkowanie się Regule, pogodzenie się ze swą słabością, oddanie miłości Bożej. I to był pierwszy decydujący krok.

Miłość do Boga nie powinna być bierna. Pamiętamy, jak — przy czytaniu „Dziejów Apostolskich" objawiło się Teresie istotne znaczenie miłości. Kochać Boga — to, według Jego własnych słów — kochać bliźniego.

Do posłuszeństwa dodaje więc Teresa miłość, coraz więcej miłości...

Obdarzona umysłem bystrym i dociekliwym, pragnącym każde zagadnienie zgłębić do dna, wnet spostrzega Teresa, że prawdziwy altruizm, miłosierdzie całkowicie bezinteresowne, są niezmiernie rzadkie i bardzo trudne. Zna już swą fizyczną bezsilność. Teraz spostrzega swą niemoc duchową. Szukając idealnej dobroci — odkrywa nieporadność i ograniczoność umysłu. Analizując swą duszę, widzi do jakiego stopnia jest niedoskonała; jak u podstaw każdego, nawet najbardziej ofiarnego czynu tkwi ukryta samolubna miłość własna, jak stale oszukuje się samą siebie. Widzi ile trudu kosztuje zdobycie się na zupełną bezinteresowność w najdrobniejszym choćby postępku; stwierdza wreszcie, że nigdy nie zdoła wyrwać zła z korzeniami. Walkę z nim trzeba toczyć wciąż — walkę ze zmiennym szczęściem — bez nadziei wyplenienia zła z serca raz na zawsze.

Możnaby mniemać, że po tak bezlitosnym wniknięciu w siebie Teresa się załamie. Przeciwnie — właśnie w tym momencie przekroczyła próg prawdziwej świętości.

*

PODKREŚLA się powszechnie u św. Teresy dwie cechy, bez wątpienia wybitne, ale bynajmniej nie zasadnicze: umartwienia i uległość. Na domiar złego cechy te często rozumiane są w sposób z gruntu fałszywy i wręcz niebezpieczny: w umartwieniu widzi się świadome niszczenie siebie, samobójstwo; uległość przedstawiona jest jako bezwolność smętna i bezmyślna.

„Karcić ciało swoje i w niewolę podbijać". Wszyscy jesteśmy do tego powołani. Każdy z nas obowiązany jest dbać o swe ciało, kierować nim według mądrych i surowych zasad i utrzymać je w takim stanie, aby jak najwydajniej mogło służyć Bogu.

Murarz niech przyjmie tryb życia ułatwiający mu jak najbardziej spełnienie swych obowiązków, lekarz, adwokat, mąż stanu, żołnierz, czy ksiądz — niech postępują w sposób, ułatwiający pracę w ich zawodzie. Na tym polega mądrość — na tym polega zadanie ascetyzmu.

Tyle jest rodzajów ascezy — ile istnieje zawodów, a raczej ilu jest ludzi. „Traci godność człowieka rozsądnego ten, kto przekłada posty — nad miłosierdzie, brak snu — nad ćwiczenie sprawności ciała" — pisze św. Hieronim.

„Przyjemna doktryna" — powie ktoś. Toż to po prostu pochwała uciech stołu! Ba! wyniesienie ich do rzędu obowiązków ważnych i błogosławionych!

„Przyjemna doktryna"? — tak — przyjemna, bo zapewnia ciału, zbyt często pogardzanemu przez chrystianizm, przepojony jansenizmem, równowagę i radość harmonijnego rozwoju. Ale ta „przyjemna" doktryna bynajmniej nie usuwa wysiłku. Człowiek, który chce dobrze wykorzystać swe siły — bez względu na to, jaki jest jego zawód i jakie powołanie — musi narzucić sobie pewną dyscyplinę i panowanie nad instynktami. Każdy człowiek — nawet najzdrowszy — musi pilnować się w jedzeniu, ograniczać palenie i picie, używać ruchu na świeżym powietrzu, dbać o wystarczające i regularne godziny spoczynku.

Oto cały regulamin mądrego życia. Stosowanie się do niego dając zdrowie i siły do spełnienia obowiązków, daje zarazem radość i zadowolenie. Nie przychodzi jednak bez wysiłku. Nie jest też bez znaczenia dla rozwoju duchowego człowieka.

Barbarzyńskie wyobrażenie Boga bezlitosnego, zazdrosnego, żywiącego się krwią i łzami swych wyznawców, popycha niektóre egzaltowane umysły do wyrzeczeń równie sprzecznych z naturą ludzką, jak i z ideą chrześcijańską.

Zdarzają się wypadki takiej właśnie szkodliwej przesady, która jest najzupełniej sprzeczna z duchem Ewangelii.

Jeśli chodzi o zagadnienie uległości, to — w odniesieniu do św. Teresy — dziwnie wykoślawiono tę cechę, widząc w niej jakąś zupełną bezwolność i bierność. Nic błędniejszego nad to mniemanie! Teresa nie była naturą słabą, ani tchórzliwą, tak jak i chrystianizm nie jest przecież religią niewolników! Trzeba zdać sobie jasno sprawę, że, idąc za swym powołaniem tym samym zobowiązała się Teresa do posłuszeństwa. Wierna mu była aż do śmierci. Ale jeśli kiedykolwiek zażądano od niej czegoś, co było sprzeczne z jej obowiązkiem, nikt odważniej od niej nie walczył w obronie prawdy. Uległa? Tak, była uległa. Zawsze jednak gotowa stanąć po stronie pokrzywdzonych, w obronie Reguły, gotowa do podjęcia walki z możniejszymi od siebie, gdy chodziło o zbawienie czyjejś duszy, czy przeprowadzenie słusznej zasady. Gotowa nawet do wystąpienia z klasztoru, gdyby zaszła tego potrzeba.

Tym, który nigdy nie godził się z niesprawiedliwością, który wypowiedział jej walkę najbardziej wstrząsającą — jest Chrystus.

Musi rozwiać się wreszcie ckliwa legenda o małej, słodkiej świętej w deszczu róż, której cnoty — mdłe i bezmyślne — w sam raz są dobre do zasilenia odpustowej „sztuki" i cukierkowych oleodruków w rodzaju „Pamiątka 1-szej Komunii św." I choć może dziwi to kogoś, uważałem za konieczne podkreślić z wielkim naciskiem niespożytą energię, niezłomną wolę i bojowość tej mocnej i pełnej życia dziewczyny normandzkiej. Zbyt bowiem często przemieniano epopeję jej świętości w żywot sztuczny i łzawy.

W oczach ogółu Teresa Martin stała się małą, dziecinną świętą i nimb tak naiwnie pojętej świętości przysłonił całkowicie monumentalność tej wspaniałej postaci.

Jej potęga budziła przerażenie — obawiano się że przestraszy tłum wiernych. Wygładzono więc kanty, złagodzono ostrości i z wielkiej Świętej zrobiono miłą Świętą. Ale nam — ludziom dzisiejszym — nie potrzebni są gipsowi święci w sukienkach ze złota i błękitu. — Nam potrzeba świętych prawdziwych, świętych z krwi i kości! I nie jest chyba profanacją wykazanie, że taką właśnie Świętą jest Teresa Martin.

*

NIEZMORDOWANĄ pracą nad badaniem swej duszy, odkryła Teresa na nowo główne drogi, którymi musi postępować duch ludzki, gdy chce piąć się wzwyż: obowiązek poznania samego siebie; odkrycie głębi zepsucia; konieczność niepoddawania się rozpaczy, lecz toczenie walki wciąż, nawet przeciw niemożliwości. Wreszcie — pociecha i podtrzymanie, które daje praktykowanie miłosierdzia. Miłosierdzie pojęte jako główne źródło prawdy. „Ten, kto czyni prawdę, jest w światłości". Dar samego siebie — posiew siły i pewności.

Dodajmy jeszcze, że w ciągu swych długich badań nad tajnikami duszy ludzkiej, Teresa dała nam najpiękniejszą definicję miłości: czujna troskliwość, serdeczna i bezwzględna zarazem, która potrafi poświęcić nie tylko siebie, ale — co jest o wiele trudniejsze — poświęcać również kochaną osobę; miłości, która dba nie tyle o radość ukochanych, ile o dobre wypełnianie przez nich obowiązków. Dodajmy wreszcie, że Teresa zaznała pokusy zwątpienia, że ją zgłębiła i przyjąwszy tę próbę, jako jeszcze jeden krzyż — odkryła w niej nieznane skarby. Poucza nas w ten sposób, czym jest prawdziwa wiara: przyzwoleniem, które nie odbywa się w pełnym świetle, ale w gęstym mroku i które z ciemności nawet potrafi czerpać swe siły. Zrozumiemy wówczas wielkość tej Postaci — która w czasie tak krótkim potrafiła przebyć tak olbrzymią drogę.

TADEUSZ NUCKOWSKI

Zakonnica z psem

Drzewem zieleniejesz Jezusie
na horyzoncie świata posiwiałym
Pachnie drzewem wokół —
kosze pełne owoców
dźwigam Tobą ciężarne
dobrodusznie znojna robotnica
Jeży się pejzaż wilkiem gdzieniegdzie
lub pieskiem pokornie biegnie u nogi
— piesku miłościwy —
„Wielbij duszo"
śpiewaj sygnaturko
srebrne godzinki wesela:
na końcu drogi wielce utrudzonej
cicha pustelnia dzwonkiem radosna
wysoko wśród gór

ANDRZEJ PIOTROWSKI

Do mojej świętej

W niebie tak trudno cię zastać,
choć codziennie po schodach się wspinam,
po schodach stu i trzynastu,
po schodach z mgieł, modlitw i czynów.

Nie wiem przecież, gdzie chodzisz od świtu
może oczy gwiazdom zamykasz
może księżyc jak zawsze upity
do pachnących cię wozi storczyków

Codziennie czekam pod bramą,
której strzeże święty Piotr apostoł....
Może kiedyś cię tam zastanę
i pozwolisz ze sobą mi zostać

Uprzemysłowienie Polski podstawą Frontu Narodowego

dość powszechne. Jeśli jednak są osoby, które mają co do tego wątpliwości, to niechże uświadomią sobie:

po pierwsze, że cywilizacja nasza staje się coraz bardziej przemysłową, to znaczy, że rozwój potrzeb ludzkich obejmuje coraz więcej takich potrzeb, które mogą być zaspokojone tylko przez przemysł,

po drugie, że przemysł zaspakajając o wiele szerszy wachlarz potrzeb ludzkich oraz posiadając o wiele większe od rolnictwa możliwości zwiększania produkcji osiąga znacznie wyższą rentowność. W rezultacie w krajach przemysłowych wzrost dochodu narodowego jest o wiele silniejszy, a dochód narodowy to przecież podstawa rozwoju gospodarczego i wzrost dobrobytu,

po trzecie, że bez rozwoju przemysłu niemożliwy jest rozwój rolnictwa, które dziś opiera się na środkach produkcji wytwarzanych przez przemysł,

po czwarte, że podział na kraje przemysłowe i rolnicze jest równoznaczny, jak doświadczenie wykazuje, z całkowitą zależnością krajów rolniczych od przemysłowych, zależnością prowadzącą w końcu do utraty suwerenności,

po piąte, że w Polsce bez zlikwidowania problemu przeludnienia wsi nie ma mowy o jakimkolwiek postępie gospodarczym. Emigracja ludności, często stosowany środek zaradczy, poza tym, że jest ograniczony, jest też środkiem w istocie antynarodowym, gdyż prowadzi przeważnie do utraty najlepszych sił. Problem ten rozwiązuje tylko uprzemysłowienie,

po szóste, że uprzemysłowienie zapewnia silną pozycję polityczną i gospodarczą na terenie międzynarodowym oraz obronność kraju. Powszechnie wiadomo, że jednym z zasadniczych powodów klęski wrześniowej była olbrzymia dysproporcja między Polską a Niemcami w rozwoju przemysłu.

Wydaje się, że tych kilka argumentów przemawia dostatecznie za tym, że przyszłość Polski zależy od jej uprzemysłowienia, że zatem uprzemysłowienie to naczelny nakaz polskiej racji stanu.

REALIZACJA tego nakazu stała się możliwa dopiero wówczas, gdy rządy w Polsce objęła władza ludowa, reprezentująca klasy: robotniczą i chłopską. Władza ludowa bowiem: **po pierwsze**, uprzemysłowienie kraju uznała jako niezbędny czynnik rozwoju gospodarczego, wzrostu dobrobytu i niepodległości narodu; **po drugie**, zlikwidowała kapitalizm będący główną przeszkodą uprzemysłowienia Polski; **po trzecie**, ujęła w swoje ręce środki produkcji i wprowadziła system planowania, zatem stworzyła dwa podstawowe warunki świadomego kierowania procesami gospodarczymi.

Rezultaty głębokich zmian w ustroju społeczno-gospodarczym na odcinku uprzemysłowienia nie dały na siebie długo czekać. Już wykonanie planu trzyletniego zapewniło Polsce wzrost dochodu narodowego o 25% w stosunku do 1938 r., wzrost wartości produkcji przemysłowej o 77%, oraz wzrost wartości produkcji na 1 mieszkańca o 150%.

(Dokończenie ze str. 1)

Jednak plan trzyletni był przede wszystkim planem odbudowy. Wprawdzie rekonstrukcja aparatu przemysłowego jak widzimy z przytoczonych wskaźników znacznie podniosła potencjał przemysłowy Polski w stosunku do przedwojennego, tym niemniej nie zmieniło to zasadniczo charakteru struktury gospodarczej kraju z rolniczej na przemysłową. Temu celowi dopiero ma służyć Plan 6-cio letni, po wykonaniu którego Polska wprawdzie też nie będzie jeszcze krajem całkowicie przemysłowym, jednakże podstawy uprzemysłowienia będą dostatecznie mocne, aby zapewnić szybki rozwój dalszemu procesowi uprzemysłowienia.

Podstawy uprzemysłowienia będą stworzone przez:

a) wybitny rozwój przemysłu maszynowego i narzędziowego,
b) powstanie nowego, wielkiego hutnictwa oraz rozbudowę i modernizację hutnictwa starego,
c) znakomite rozszerzenie bazy surowcowej przemysłu,
d) stworzenie wielkiego przemysłu chemicznego.

Realizacja tych zadań wiąże się oczywiście z rozwojem energetyki, przemysłu materiałów budowlanych, jak również produktów spożycia.

Wykonanie Planu 6-cio letniego zapewni wzrost w stosunku do 1938 r. dochodu narodowego o 164%, produkcji przemysłu wielkiego i średniego o 324%. Na głowę ludności poziom produkcji przemysłowej będzie 5-cio krotnie wyższy od poziomu z 1938 r. Udział ludności pozarolniczej w ogóle ludności wzrośnie w 1955 w porównaniu do 1938 z 38,9% do 52,8%. Jednakże Plan 6-cio letni to dopiero pierwszy etap w uprzemysłowieniu, a już dziś dowiadujemy się o zarysie drugiego Planu 5-cio letniego, który przewiduje, że w 1960 r. produkcja przemysłowa na głowę będzie zgorą 10-cio krotnie wyższa aniżeli w 1938 r. Warto przypomnieć że w roku tym przemysł Polski produkował w przeliczeniu na 1 mieszkańca 10 razy mniej aniżeli przemysł Stanów Zjednoczonych.

Zamierzenia naszych planów są niezwykle śmiałe, tym niemniej są całkowicie realne. Świadczy o tym dotychczasowe wykonanie Planu 6-cio letniego, obejmujące już prawie połowę okresu tego planu, wykonanie znacznie lepsze, aniżeli przewidywano. Wykonanie planu produkcji przemysłu na 1952 r. będzie oznaczało przekroczenie o 16,8% zadania Planu 6-cio letniego na 1952. W przeliczeniu na 1 mieszkańca już na koniec 1952 r. poziom produkcji wyniesie 415%, w stosunku do r. 1938. Równocześnie wiemy, że plan produkcji przemysłu na I półrocze 1952 został wykonany w 100,3%. W naszych stosunkach szczególnie ważnym wskaźnikiem uprzemysłowienia jest stan zatrudnienia poza rolnictwem. W 1938 r. mieliśmy zatrudnionych poza rolnictwem 2.730 tys., w 1946 r. — 2.850, w 1947 — 3.180 tys., a w b.r. już 5.340 tys. czyli prawie dwukrotnie więcej aniżeli przed wojną i o 68% więcej aniżeli w 1947 r. O ogromnym rozwoju uprzemysłowienia świadczą jeszcze mocniej aniżeli cyfry, już wybudowane lub znajdujące się w stanie budowy zakłady przemysłowe różnych wielkości i dotyczące najróżnorodniejszych dziedzin przemysłu, a więc hutnictwa, górnictwa, energetyki, elektryfikacji, przemysłu chemicznego przemysłu maszynowego, a nadto również przemysłu dóbr konsumpcyjnych.

Na podstawie dotychczasowego przebiegu wykonania planu 6-cio letniego wolno przypuszczać, że plan ten będzie wykonany z nadwyżką.

STWIERDZAJĄC ogromne tempo rozwoju uprzemysłowienia w Polsce Ludowej, trzeba jednocześnie podkreślić, że w tym samym czasie rejestrujemy poważne zdobycze na odcinku socjalnym. Podkreślenie tego faktu jest tym ważniejsze, że rozwój przemysłu w krajach kapitalistycznych był związany z ciężką sytuacją socjalną milionowych rzesz robotniczych w tych krajach a wprost z tragiczną sytuacją proletariatu w krajach kolonialnych.

Dotychczasowe zadziwiające wszystkich osiągnięcia w zakresie uprzemysłowienia oraz ogromne perspektywy jego dalszego rozwoju widoczne już na tle Planu 6-cio letniego, to podstawowy czynnik Frontu Narodowego w walce o pokój i realizację tego Planu, to podstawowy czynnik zjednoczenia całego społeczeństwa.

Kto rozumie znaczenie uprzemysłowienia dla Polski, kto widzi już wybudowane, lub znajdujące się w budowie fabryki, domy mieszkalne, szkoły, szpitale, uniwersytety, linie kolejowe, drogi itp.

Kto zapozna się z wytycznymi Planu 6-cio letniego, ten przy równoczesnym przypomnieniu 20 zmarnowanych dla sprawy uprzemysłowienia lat międzywojennych czy obecnego losu wielu zacofanych krajów Azji, Afryki czy Ameryki Południowej musi zrozumieć i przyjąć całą treść programu Frontu Narodowego.

To wszystko bowiem co już zostało osiągnięte i co będzie osiągnięte na odcinku uprzemysłowienia byłoby nie do pomyślenia bez tych przemian społecznych i politycznych, które zostały w Polsce dokonane.

Również walka o pokój, która oczywiście wynika przede wszystkim z podstawowych zasad moralnych, staje się jednak jeszcze bardziej zrozumiałą, jeszcze bardziej mobilizującą, jeśli uświadomimy sobie, że dzisiaj walka się toczy o te już wybudowane fabryki i domy i o możliwość dalszej budowy, dalszego uprzemysłowienia, a w konsekwencji dalszego coraz większego rozwoju społecznego i gospodarczego.

Nic dziwnego zatem, że pod programem ogólnopolskiego Komitetu Wyborczego Frontu Narodowego widnieją nazwiska ludzi, reprezentujących tak różne środowiska ideologiczne i społeczne. „Front Narodowy bowiem jest jednością wszystkich, którzy gotowi są oddać swe myśli, zapał i siły w walce o zwycięskie wykonanie historycznych planów narodowych — planów uprzemysłowienia i wszechstronnego rozwoju Polski". A jedność ta jest konieczna, ponieważ uwielokrotnia wysiłki, które muszą być na miarę wielkości stojących przed narodem zadań.

Konstanty Łubieński

Oczyma czytelnika

(Dokończenie ze str. 4)

nowych sytuacji — dopiero wtedy suma ich wszystkich ma znaczenie".

To jednak jeszcze nie wszystko. Janina Kolendo zamyka akcję powieści, kiedy zarysowuje się ledwo cień empirycznego sprawdzenia wyników poszukiwań Leny. Nie tylko więc sama odnalezienia drogi nie sugeruje, ale jak gdyby powstrzymywała czytelnika przed taką konkluzją. Stąd nasuwa się przypuszczenie, że może tytuł „Szukając drogi" należy brać bardziej dosłownie. Że może przedmiotem zainteresowania autorki jest nie tyle odnalezienie drogi, co sam proces poszukiwania. Czy wydźwięk taki był zamierzony, tego w tekście z całkowitą pewnością odczytać się nie da, jakkolwiek zakończenie zdaje się na to wskazywać. I tak jest może słusznej. Katolicy polscy w swej masie znajdują się właśnie na etapie szukania drogi. Z tym problemem musi się każdy uporać osobiście we własnym najbliższym środowisku, w swoich warunkach życia i pracy, tak silnie nieraz zróżnicowanych. Podsunięcie jakichkolwiek generalnych, gotowych i wykończonych w szczegółach wzorków byłoby łatwizną, ryzykownym w skutkach uproszczeniem. Otóż jakiekolwiek inne uproszczenia wytykalibyśmy debiutowi literackiemu Janiny Kolendo, tego właśnie — moim zdaniem — zarzucić się nie da. Natomiast realistyczne zademonstrowanie samego procesu, zaakcentowanie konieczności i wartości solidnego wysiłku, uczciwego poszukiwania — może wiele pomóc a także — kto wie — niejedną świadomość ruszyć z martwego punktu. I to osadza książkę mocno we współczesności, jako książkę niewątpliwie pożyteczną.

PUBLICYSTYKA I PERSPEKTYWA

W recenzjach postawiono książce wiele zarzutów. Dadzą się do nich dołączyć jeszcze inne; ale o tym na końcu. Tymczasem dotknijmy jednej sprawy z gatunku zasadniczych.

Z. Starowieyska-Morstinowa, bilansując debiut pisarski Janiny Kolendo ujemnie, wysuwa po stronie „winien" jako gruby kaliber brak perspektywy w pokazaniu problemów i „ułatwioną publicystykę". Jakkolwiek co do stopnia owego „ułatwienia" można by się spierać, minusy to niewątpliwie poważne i za lat dwadzieścia, kiedy — być może — będzie się systematyzować literaturę polską ćwierćwiecza 1945 — 1970, z pewnością wpłyną na zaszeregowanie książki. Dziś jednak muszą budzić niepokój.

Powieść Janiny Kolendo nie tylko przełamuje konwencję milczenia na polu współczesnej powieści katolickiej. W pewnym sensie także wyprzedza historię, ukazując perspektywy na przyszłość. Jest próbą najdosłowniejszej realizacji naglącego zamówienia społecznego. Znać po niej, że nie poprzedziły jej — jak była łaskawa zauważyć recenzentka Tygodnika Powszechnego — lata pisarskich przedszkoli, nie kształtowała spokojna atmosfera zacisznego warsztatu. Jest skokiem obiema nogami w sam środek rozpalonej problematyki. Powstawała niejako „w ogniu", współbieżnie z powstawaniem i rozwojem własnych zagadnień. Nie tylko pomaga myśleć — zmusza do myślenia, chociażby nawet przez sprzeciw; od początku do końca polemizuje, zniewala do rewizji postaw.

W tych warunkach reportaż i zbeletryzowana publicystyka były nieuniknione i autorka musiała je chyba z góry przewidzieć. Książka nie tylko mówi o przełomie — jest sama przełomem. Wciągnięcie zaś w samo centrum zagadnień musi oznaczać ograniczenie możności hierarchizowania i ustalania proporcji; uwagę przykuwa po prostu to, co najpilniejsze. Perspektywa wymaga oddalenia. Czyżby Z. Starowieyska-Morstinowa o tym zapomniała? Czy ubolewa, że nie powstało dzieło literacko dojrzałe w warunkach w jakich powstać nie mogło? Wątpię.

O co w takim razie chodzi? Z jakiego punktu widzenia spotyka autorkę zarzut, że pominęła element konstrukcyjny, który sam charakter książki w przeważnej mierze wyklucza? Tego recenzentka nie wyjaśnia, zostawiając w sposób ryzykowny pole do rozszyfrowania milczącej sugestii. A gdyby spróbować ją odczytać? Czy konkluzja nie brzmi czasem: „za wcześnie"? Czy przypadkiem nie radzi zaczekać, aż się „przedmiot świeży jak figa ucukruje, jak tytoń ulezży"? Wtedy oczywiście miałby pisarz i perspektywę, i właściwe proporcje, i możność wyciągnięcia prawidłowych, sprawdzalnych wniosków. Tylko, że do tej chwili zamówienie społeczne pozostawałoby nie spełnione; tylko, że życie tymczasem pójdzie naprzód i najpewniej przejdzie do porządku nad takimi radami. Bo książka, którą czytelnik już ma w ręku, choćby słaba i dyletancka, byle odważna i uczciwa, więcej przynosi pożytku, niż arcydzieło, które będzie. To właśnie widać oczyma czytelnika wyraźniej może, niż z pozycji krytyki literackiej.

KAMYCZEK DO OGRÓDKA

POŚPIESZNEJ roboty warto — w przypadku takim, jak „Szukając drogi" — bronić. Ale na niedostatki zamykać oczu nie można. Nie mam zamiaru rozpatrywać krytyki zawartej w recenzjach; chcę tylko zwrócić uwagę na kilka wypadków gdzie najprawdopodobniej właśnie pośpiech zaznaczył się w sposób niekorzystny.

Przede wszystkim chronologia „nie gra" i uniemożliwia precyzyjne wstawienie akcji w ramy czasu. Z tekstu wynika, że akcja zaczyna się późną wiosną 1948 roku, kończy — w marcu 1950. Tymczasem już po śmierci starego Kremera i po wypuszczeniu Tadeusza — a więc w rok od początkowych wydarzeń Lena oświadcza, że jest rok 1948 (str. 156). Przejęzyczenie? Idźmy dalej: w roku 1948 Lena ma 32 lata (str. 10). Ale na stronie 12 dowiadujemy się, że kiedy Kremerowie brali ślub — w 1942 roku — on miał lat 25, ona — 24. Znów niezgodność, bo w takim razie w roku 1948 miałaby zaledwie przekroczoną trzydziestkę. Kobieta nie myli się o dwa lata na swoją niekorzyść. A w ostatnim rozdziale (marzec 1950, str. 228) Lena stwierdza, że jest żoną Piotra od dziewięciu lat. Czyżby zapomniała, że to dopiero mija osiem? Ale żart na stronę. Nie chodzi o przyczepianie się do drobiazgów. Gorzej, że te drobiazgi zamazują realia życia Piotra. Na stronie 32 czytamy wyraźnie: „Piotr, który dotknął palcami gliny w wieku lat dwudziestu ośmiu..." Rozpoczął zatem studia rzeźbiarskie w trzy lata po ślubie, bezpośrednio po zakończeniu wojny — w roku 1945. A w czterdziestym ósmym jest już profesorem! Nieprawdopodobne.

Następnie zastanawia sprawa Janusza. Pojawia się w rozdziale V części I po to, żeby Lena mogła wypowiedzieć exposé o swoim stosunku do Kościoła; następnie znika i raz tylko powraca dalekim echem przez usta Piotra (str. 125). Pozornie wszystko jest proste: w Lenie kocha się stary znajomy, ona odmawia „z powodów zasadniczych" i koniec. Ale na stronie 39 znajdujemy niepokojący fragment rozmowy: „—*Nawet* (podkr. moje) mnie nie pocałujesz? — Do wieczora". Na stronie 41 zaś: „Umiesz być wspaniałym przyjacielem, i nie tylko przyjacielem Wyrażałam swój zachwyt tak ostatecznie, że nie możesz mieć wątpliwości". I wreszcie cały pierwszy akapit strony 43 o „odstępowaniu od zasad" i „oficjalnym zerwaniu z Kościołem". Budzi się niepokój, co na prawdę łączyło Janusza z Leną. Wprawdzie ona sama poprzednio zapewnia: „Byłam wierna. Nie zamierzam drugi raz wyjść za mąż" — ale to nie przekonuje. Czy sprawa wierności sprowadza się tylko do tego, że Lena nie wychodzi za Janusza? I po uważnym wczytaniu się w tekst do końca nie ustępuje wątpliwość, czy Lena rzeczywiście dochowała wiary Piotrowi. A tymczasem w dziejach jej przełomu moralnego ta sprawa pozostaje bez dalszego ciągu. Po prostu przestaje istnieć. Nasuwa się domysł, że może w pierwotnej koncepcji autorki sprawa Janusza miała wyglądać inaczej, a przytoczone fragmenty prześliznęły się przez niezbyt dokładny retusz tekstu.

Trzecie załamanie: Możemy się od biedy zgodzić, że Piotr odszedłszy od Leny i wiążąc się z inną kobietą pozostał ze swego puktu widzenia uczciwy. Ale że po owej nocy w Zakopanem, która na tle poprzednich dziejów obojga Kremerów ma wymowę powrotu do małżeństwa, Piotr żyje sobie najspokojniej z Margit aż do chwili, kiedy Lena pisze mu, że jest w ciąży — to już jest grubo nie w porządku. Ma się wrażenie, że z tekstu coś wyleciało — lub nie zostało dopisane do końca — przez co całe etyczne i psychologiczne postawienie problemu zdrady małżeńskiej irytująco „rozłazi się na szwach".

Oczywiście, daty na końcu książki (2.III — 29.VI.51) wiele tłumaczą: tak pośpieszna robota nie może być precyzyjna. To jednak tylko wyjaśnia — nie usprawiedliwia. Nie tylko do autorki zresztą można mieć pretensję: od ukończenia rękopisu do wyjścia książki z druku upłynął okrągły rok; skoro w ciągu tego czasu — niezależnie od całej chmary błędów czysto korektorskich — nie przepłoszono z tekstu takich „byczków", to redakcję powieści trudno nazwać staranną. A szkoda.

Bo w ogólnym bilansie książka jest wartościowa. I odbiorca, który przeczytawszy ją zadał sobie trud przemyślenia treści, może być i autorce i Paxowi szczerze wdzięczny.

Adam Pankowicz

Stefan LICHAŃSKI

ANTYKLEMENS

CZYLI

traktat przeciwko Kanibalom

ZYGMUNT LICHNIAK zaatakował moją recenzję z powieści Łepkowskego „Ludzie znad zatoki". (Dziś i Jutro, Nr 25/343), ale zaatakował ją bardzo chytrze: posłużył się w tym celu pewnym Klemensem, protagonistą dialogu „Obowiązuje miara naszych czasów" (Dziś i Jutro Nr 33/351). Co prawda w komentarzu zamykającym dialog autor przyznaje się do solidarności ze swoim bohaterem, ale robi to w sposób bardzo przezorny i dwuznaczny: akceptując „treść" wywodów Klemensa zgłasza równocześnie zastrzeżenia co do ich „formy".

Ba, ale myśli inaczej sformułowane są już innymi myślami! Zmiana klimatu emocjonalnego, metod argumentacji i stylu wypowiedzi pociąga za sobą przeobrażenia w samym meritum sprawy. Zagadnienie inaczej wyrażone jest zagadnieniem inaczej postawionym (Stwierdźmy tu jednak, że bądź co bądź w ten zawiły i okólny sposób, tym właśnie błędem dało znać o swoim istnieniu sumienie intelektualne autora: trochę mu jednak wstyd tego swojego Klemensa).

Trudna jest walka z przeciwnikiem tak zręcznie ubezpieczającym się i tak zgrabnie przygotowującym sobie drogi ewentualnego odwrotu. „To nie ja mówiłem, to Klemens", może on powiedzieć w każdej niewygodnej dla siebie sytuacji i „uciec na Pragę". Ale im trudniejsze warunki gry, tym bardziej staje się ona emocjonująca. I dlatego pójdę Lichniakowi na rękę przyjmując, że Klemens to nie porte-parole prywatnych poglądów autora, lecz reprezentant pewnej postawy kulturowej będącej wspólną własnością jakiejś większej grupy naszych współcześników. Założenie pogarszające zdecydowanie moją sytuację, ale stwarzające przy najmniej jakąś określoną płaszczyznę polemiki.

*

ZACZNIJMY od sprawy pozornie bardzo błahej i zewnętrznej: od manier towarzyskich Klemensa. Jego rysem najbardziej charakterystycznym jest ordynarność i to ordynarność założona, programowa. Jest to pewien styl bycia, pewna maniera, której wartość polega na tym, że zapewnia ona posługującemu się nią osobnikowi poczucie wyższości wobec otoczenia („mam gdzieś wasze konwenanse"), poczucie wewnętrznej „krzepy" i pewności siebie, („ja ci mówię, że tak jest"), a wreszcie umożliwia łatwe odnoszenie zwycięstw nad przeciwnikami, gdyż ci, wystraszeni i sterroryzowani, milkną w słusznej zresztą obawie, że w odpowiedzi na swoje obiekcje usłyszą tylko jakieś impertynencje i grubiaństwa. Rozważana ze stanowiska psychologii jest ta maniera próbą zasugerowania otoczeniu swojej nad nim przewagi, próbą uniknięcia rozumowego argumentowania swoich racji, a więc — w ostatecznej instancji — próbą intelektualnej szacherki przez zastosowanie metod sugestii emocjonalnej.

Klemens posługuje się tą właśnie obrzydliwą manierą w sposób jaskrawo natarczywy. Równocześnie zaś cały czas jedzie na dwu typowo demagogicznych „chwytach": szantażu i dopingu. Szantaż polega w danym wypadku na przemawianiu w taki sposób, jakby się miało monopol na reprezentowanie obiektywnej wiedzy o swojej epoce, o zadaniach i roli literatury w ogóle a krytyki literackiej w szczególności, na ciągłym straszeniu odpowiedzialnością historyczną i moralną; doping — na sugerowaniu jakichś oszałamiających możliwości, jakie otworzą się rzekomo przed obu „niewiernymi", Leonardem i Wiktorem, skoro tylko nawrócą się oni na wiarę Klemensa. „Dajcie mi się w ręce", mógłby powtórzyć za bohaterem Słowackiego ten emfatyczny Kordian współczesności.

Klemens wykazuje zbyt wiele skłonności do posługiwania się emocjonalnym szantażem i demagogią intelektualną, by nie budziło to wątpliwości w jakość poglądów, które ma on reprezentować. Kto jest naprawdę pewny swego, ten nie miota się tak i nie krzyczy, nie przechodzi tak łatwo od wymyślania ludziom do schlebiania im („Ale ty, Wiktorze, chyba rozumiesz?") Właściwy Klemensowi sposób mówienia i bycia przywodzi na pamięć aforyzm Hebbla: „Są ludzie, którzy mają w głowie zamiast mózgu zaciśniętą pięść". W tym właśnie rzecz, że Klemens nie tylko wali pięścią w stół, on nią także **myśli**. I dlatego w sedno trafia Leonard, gdy wysłuchawszy dłuższego przemówienia Klemensa woła przerażony: „Kanibal ante portas!"

*

NA czym polega ów kulturowy kanibalizm Klemensa? Na niesłuszności jego tez? Bynajmniej. Raczej na ich purytańskiej ciasnocie. Klemens woła o literaturę wielkich problemów. I wtedy klaszczemy z uznaniem. Ale Klemens uzupełnia swój godziwy i słuszny postulat wyklinaniem tych, którzy wielkiej problematyki („docieranie do korzeni") nie podejmują — i wtedy zaczyna być gorzej. A Fredro — myślimy sobie — a Sienkiewicz, Reymont, Weyssenhoff i tylu innych? Sprawność intelektualna Sienkiewicza wystarczała zaledwie na kucie aforyzmów w rodzaju: „Kobieta bez kokieterii jest jak kwiat bez woni", a przecież mimo to jest on jednym z metadorów naszej prozy. Wielka problematyka „wychodzi" tylko pisarzom o naprawdę mocnych głowach; inni łamią na niej zęby i produkują — w najlepszym razie — jakąś „Sprawę Dołęgi", jakieś „Bez dogmatu" i tym podobne naiwności.

Irzykowski dzielił literaturę na zbierającą materiał, walczącą i ziszczającą. Klemens za „prawdziwą" uznaje tylko literaturę podpadającą pod drugą z tych kategorii. Inną chciałby przeznaczyć na makulaturę. To jest właśnie przykład jego naiwnego purytanizmu, podpierającego się rzekomo wymaganiami „ducha czasu" i racji stanu literatury katolickiej.

Ale ten numer nie przejdzie. Epoka przełomu potrzebuje maksymalnej samowiedzy, a tę osiąga się (na terenie sztuki) przez wzrost zróżnicowania pracy artystycznej, przez objęcie nią jak najszerszych połaci rzeczywistości. A więc nie tylko „docieranie do korzeni", ale także wszechstronne badanie „powierzchni" bieżącego życia, nie tylko sugerowanie nowych sposobów myślenia i odczuwania, ale także opis i analiza tych, z jakimi się autor co dzień spotyka, nie tylko chodzenie wzdłuż generalnych linii problematyki swego czasu, ale także po jej zakamarkach, ślepych uliczkach, błędnych ścieżkach, nie tylko patrzenie z perspektywy zbiorowości, ale także z bardzo indywidualnych i prywatnych punktów widzenia, nie tylko analiza teraźniejszości, ale także rewizja spadku przeszłości oraz projektowanie, postulowanie przyszłości. Obowiązuje tylko jedno: nowość widzenia. W epokach przejściowych zadania literatury nie upraszczają się, lecz — przeciwnie — rozszerzają i komplikują. Klemensowa propaganda bezustannego walenia tylko w wielki bęben zagadnień centralnych przyniosłaby, gdyby była — co nie daj Boże! — skuteczna, powódź zdawkowej frazesomanii i zwęziłaby potwornie sferę kontaktów sztuki z życiem.

Gorzej jeszcze, że Klemens nie tylko sam zajmuje stanowisko kanibalskie wobec literatury, ale podjudza do kanibalizmu krytykę. Parokrotnie wraca u niego motyw „mówienia podniesionym głosem". Otóż „podniesionym głosem" mówią ludzie poirytowani, lub też cokolwiek zamroczeni alkoholem. Krytyk powinien mówić tonem spokojnym i rzeczowym, nawet wtedy, gdy ma do czynienia z faktem literackim najbardziej dlań niesympatycznym.

Klemens zalecając krytykom uprawianie wrzasku (pralechicki „gust do wrzasku", vide „Lilla Weneda", akt IV, scena 4.) wychodzi z założenia, że krytyk to nieomylny sędzia i prawodawca literatury, mogący swobodnie przyznawać odznaczenia i nagany, wystawiać cenzurki i łaskawie klepać ludzi po ramieniu. Jest to uzurpacja, aczkolwiek uzurpacja w cudzym imieniu i na cudzą korzyść. Klemens jakby nic o tym nie wiedział, że dla krytyka sprawą najważniejszą jest **wyjaśnianie i wartościowanie** dzieł z punktu widzenia przyjętego przezeń systemu założeń, wyjaśnianie czytelnikom i autorom, odczytywanie ukrytych sensów i znaczeń, umieszczanie poszczególnych faktów literackich w szerszych układach odniesienia. Samo ocenianie, wystawianie cenzurek autorom — to czynność wtórna, to robota o pewnej użyteczności praktycznej ale intelektualnie błaha i mało interesująca.

*

POZOSTAJE do rozpatrzenia sprawa owej racji stanu literatury katolickiej. Zacząć tu trzeba od stwierdzenia, że samo pojęcie „literatura katolicka" nie należy do pojęć „ostrych" logicznie. Zawiera ono w sobie pewną ilość różnych treści znaczeniowych i może być interpretowane bardzo rozmaicie. Nie można go uważać za analogiczne do pojęć takich jak np. literatura polska, literatura osiemnastego wieku, literatura futurystyczna. Nie zawiera ono i nie może zawierać niczego, co specyfikowałoby tę literaturę pod względem stylu artystycznego lub tematyki. Jedynym czynnikiem decydującym o katolickości czy niekatolickości danej książki może być tylko i jedynie prawowierność przyjętych przez autora założeń światopoglądowych. Słowem: za katolicką należy uznać każdą książkę, która nie reprezentuje poglądów sprzecznych z dogmatami Kościoła. Oczywiście, ta norma będzie normą negatywną, określeniem **granicy zewnętrznej**. W obrębie tak pojętej literatury katolickiej można znowu ustalić pewne kręgi dośrodkowe grupujące dzieła o coraz większej wadze gatunkowej z punktu widzenia pozytywnie katolickiego. Dla przykładu podam taki prowizoryczny schemat owych kół dośrodkowych: 1) literatura niesprzeczna z katolicyzmem, 2) literatura katolicyzmu metrykalnego (o postawie ideowej w duchu „Wszystkie systemy diabli po kolei biorą, a msza po staremu się odprawia"), 3) literatura propagandowo katolicka (wojująca o rozszerzenie wpływów katolicyzmu, „ulepszająca" katolicyzm wiernych itp.), 4) literatura problematyki wewnętrznej katolicyzmu (Bernanos, Green), 5) Literatura „pełni chrześcijańskiej" (Dante, poetycka twórczość wielkich mistyków, jak np. św. Jan od Krzyża.)

Wystarczy jednak znaleźć się w kręgu pierwszym, w kręgu tych, którym nie można zarzucić nieprawomyślności w kwestiach dogmatycznych, a już jest się autorem książki katolickiej. Oczywiście, każdy krytyko-Klemens może domagać się od autora, aby wykazał więcej ambicji i próbował wyższych lotów, ale nie ma prawa kwestionować np. wydania tego rodzaju książki przez katolicką firmę wydawniczą, jak to właśnie robi Klemens Lichniaka. Tego rodzaju atak bije w samą zasadę katolickiego uniwersalizmu. Twórczość katolicka — ale tylko według zaleceń Jego Klemensowskiej Wielmożności. „O szalony, gdzie on goni?". Przecież na razie katolicki to tyle co **powszechny, a nie** — klemensowski.

„Wymagało się od powieści katolickiej tego i owego", woła Klemens. To dobrze, że się wymagało. Wytyczyło się w ten sposób pewne linie orientacyjne i dla tej powieści i dla krytyki, ustaliło się pewien program. Ale ostatecznie program jest tylko programem, a nie planem pracy dla pisarzy ani też kodeksem karnym, na którego podstawie można ich sądzić i odsądzać od czci i wiary.

Łepkowski nie napisał według programu! Łepkowski napisał nie według programu! W programie tego nie ma! W Koranie tego nie ma! I rozhulał się nasz domorosły kalifek Omarek. I poniosło go. Gdyby mógł, wpakowałby do mamra razem z Łepkowskim dyrektora „Paxu". Ale nie może, biedny. Usiłuje więc przynajmniej pod etykietkę troski o los literatury katolickiej w Polsce przemycić nową, typowo kanibalską herezję intelektualną — **omaryzm**.

*

REASUMUJĄC: Klemens zajmuje wobec literatury, krytyki literackiej i pisarstwa katolickiego stanowisko radykalnego normatywizmu: wie, jak one powinny się przedstawiać i sprawdza, czy istotnie pasują do jego o nich mniemań. Same jednak owe mniemania wzbudzają bardzo poważne wątpliwości. Nie dlatego, żeby były absolutnie pozbawione słuszności. Są one po prostu niewłaściwie potraktowane.

Każdy piszący tworzy sobie na swój użytek pewną warsztatową poetykę normatywną, obejmującą nie tylko normy techniki pisarskiej, ale również przydatne w codziennej praktyce autorskie autosugestie tematyczne i problematowe, pewne wyznaczniki sposobów reagowania na różne idee i zjawiska oraz oceniania ich — itp. Ta poetyka pozostaje oczywiście w związku z założeniami światopoglądowymi autora i jakoś je — w zastosowaniach praktycznych — odzwierciadla i odtwarza. Jest to sfera, w której zasadnicze idee kierownicze przyjęte przez dane indywiduum jako ważne dlań i obowiązujące przemieniają się na drobną monetę zagadnień praktycznych, realizują się na płaszczyźnie bezpośredniej użyteczności dla aktualnie wykonywanej pracy pisarza. Jestem np. krytykiem katolickim, ale muszę poradzić sobie z takim spreparowaniem owego krytyckiego katolicyzmu, ażeby on był mi przydatny właśnie przy analizie wierszy Niegdysia, nowel Dziubdzikiewiczowej, dramatu Kapcanowicza. W wyniku takich praktycznych zastosowań idei podstawowej powstaje wreszcie jej pewna koncepcja użytkowa, koncepcja najlepiej przystosowana do potrzeb mego warsztatu, mojej indywidualności oraz warunków, w jakich działać mi wypadło. Koncepcja ta ideę podstawową konkretyzuje, ale jednocześnie zwęża i ogranicza. Ta koncepcja ściśle praktyczna, ta hipoteza robocza, oddane na wyrobniczą służbę codzienności dziecka swojej idei-matki ma tendencję do emancypacji i rozpoczęcia samodzielnego życia.

Podstawowy i zasadniczy błąd Klemensa polega na tym, że w jego arsenale ideowym rozpanoszyły się właśnie te idee pochodne, te czysto praktyczne koncepcje, potraktowane jako twory samoistne, jako idee podstawowe, fundamentalne. Praktycznie i pragmatycznie przydatne normy swojego warsztatu myślowego wynosi Klemens na rynek jako powszechnie obowiązujące i jedynie słuszne zasady ogólne. W Klemensie czysty praktycyzm i czysty utylitaryzm zagłuszyły wołanie sumienia intelektualnego, które protestuje przeciw uznaniu jakiegokolwiek etapu krystalizacji świadomości za ostateczny, gdyż wtedy krystalizacje zaczynają nieodwołalnie przemieniać się w skostnienia. Skleroza myśli grozi stale („bo paraliż postępowy najzacniejsze trafia głowy"), a jedynym środkiem zapobiegawczym przeciw niej jest postawa bezustannego rewizjonizmu wobec tego aparatu pojęć i norm, który nazwałem powyżej „praktyczną poetyką normatywną".

U Klemensa objawy intelektualnej sklerozy występują bardzo wyraźnie. Koncepcje praktyczno-warsztatowe nabierają dlań wartości idei podstawowych i zastygają w martwą literę dogmatów. Krzyczy, grozi, gestykuluje, ale ta patetyczna deklamacja o życiu, rzeczywistości, nowych czasach, krzepie, mocy, zaciśniętych szczękach i trzeszczących głowach przywołuje nie bóstwa dnia lecz upiory Hadesu. Klemensowi zdaje się, że jest taki surowy, prosty, pierwotny, rudymentarny. Nieprawda! Reprezentuje on właśnie regres, odwrót, kurczenie się widnokręgów myślowych.

I to właśnie jest rasowo kanibalskie. Bo kanibale nie są bynajmniej prości, pierwotni, rudymentarni. Są oni dekadentami zamarłych kultur.

*

A teraz, żeby nie było niedomówień, parę słów na temat zagadnienia debiutów.

Debiut nie potrzebuje być dokonaniem. Jest to tylko pierwsza próba sił. Autor musi w niej wykazać jedynie konieczne minimum sprawności w zakresie posługiwania się piórem i własną głową. Dlatego też mówiąc o debiucie należy kłaść nacisk nie na osiągnięcia (zazwyczaj wątpliwe), ale na wykazane **możliwości**. Recenzje z debiutów pisze się nie tyle dla czytelników, ile dla autora. Nie chodzi o żadną

(Dokończenie na str. 10)

Jan Juszczyk

Mój ojciec

Ojciec mój był prostym chłopem,
szczerym był jak dobre życie,
cierpiał dużo mówił mało
czasem łzę upuścił w łopian
poza domem niewidzialną —
płakał ojciec mój lecz skrycie,
żeby dzieci nie widziały...

Przyczajone w oczach siwych
nosił ciepło jak serdeczność,
nigdy nie bił i nie krzyczał,
zawsze tylko był troskliwy
o nasz chleb o ubiór prosty
i o naszą całą wieczność,
którą na Różańcu liczył

Słyszał ją, gdy Anioł Pański
biły dzwony na dzwonnicy,
widział ją, gdy pory roku
strój zmieniały swój cygański
WIOSNA-LATO-JESIEŃ-ZIMA
Ileż ich dziesiątków zliczył
czasu ile zmierzył krokiem!

Widział krzywdę, lecz nie walczył
czemu — nie wiem — kochał ciszę
w strój odzianą marmurowy
i w wiek wolno wchodząc starczy
gasił srebrną życia kliszę
pochyleniem siwej głowy...

Jan POGORSKI

PRZEMIANY AZJATYCKIE (VIII)

FILIPINY

czyli fiasko „oświeconego" imperializmu

W końcu 1898 roku, po zwycięstwie młodych i prężnych Stanów Zjednoczonych nad zmurszałą, kolonialną Hiszpanią, ówczesny prezydent USA, Mc Kinley, w następujących słowach zwrócił się do Kongresu:

„Od miesiąca, noc w noc, przemierzałem pokoje Białego Domu od zmierzchu do północy i dziś, nie wstydzę się przyznać do tego, panowie, że, nieraz klękałem i modliłem się do Najwyższego, by oświecił mnie i zesłał rozeznanie... aż oto, pewnej nocy wydało mi się, że nie wolno nam pozostawić Filipińczyków samych sobie, że nie pozostaje nam nic innego jak tylko wziąć ich pod naszą opiekę, zapewnić im naukę, wychowanie i dobrodziejstwa cywilizacji, tak samo jakby chodziło o naszych własnych współobywateli..."

Nie wiadomo w jakiej mierze oświadczenie to podyktowane było ukrywaną obłudnie chęcią zysku i panowania nad terytorium Filipin. Pewną jest natomiast rzeczą, że w ostatnim roku dziewiętnastego wieku Stany Zjednoczone wkroczyły nieuchronnie na drogę imperializmu.

FILIPINY — KOLONIĄ U.S.A.

Przyznać trzeba, że pod wielu względami był to raczej pewien rodzaj „oświeconego imperializmu", który w swych poczynaniach był mniej brutalny i na pozór mniej zachłanny od imperializmu innych mocarstw kolonialnych. Choć poprawiło nieco, w ciągu pół-wiekowego panowania Amerykanów, stan dróg i stan sanitarny ludności, zasadnicza struktura społeczno-gospodarcza nie uległa prawie żadnym przeobrażeniom.

Nie było więc przez te kilkadziesiąt lat ani razu mowy o reformie rolnej, o jakimś sprawiedliwym podziale dóbr przez odpowiednie opodatkowanie. Nie przedsięwzięto absolutnie nic aby ludność wiejska, która do dziś dnia stanowi przeszło 80% mieszkańców, miała jaką taką reprezentację w rządzie. Nie hamowano nadużyć wielkich posiadaczy ziemskich i lichwiarzy, nie postarano się też o rozwinięcie różnorodnej produkcji, która by zmniejszyła zależność gospodarczą kraju od kapryśnych cen rynku amerykańskiego.

Wreszcie Stany Zjednoczone obdarzyły Filipiny niepodległością, wykonując decyzję powziętą przez Kongres jeszcze w 1934 roku. Tak więc od 4 lipca 1946, Filipiny są niezależną republiką, z własnym rządem, prezydentem, armią i przedstawicielami zagranicznymi.

Co prawda wielkoduszność protektorów nie była całkiem bezinteresowna. Już bowiem w niecałe osiem miesięcy później, zawarty z rządem filipińskim traktat oddawał w dzierżawę Stanom Zjednoczonym na przeciąg 99 lat 5 pierwszorzędnych baz wojskowych i 18 pomocniczych. Wkrótce potem umowa handlowa podporządkowała w praktyce cały handel Filipin gospodarce USA i zagwarantowała obywatelom amerykańskim równe prawa w nabywaniu ziemi. Zważywszy że możliwości finansowe Filipińczyków są niewielkie, przywilej ten oznacza podporządkowanie rolnictwa amerykańskim towarzystwom eksploatacyjnym.

Ponad połowa 300.000 km² ogólnej powierzchni kraju, który składa się z 7 tysięcy większych i mniejszych wysp, pokryta jest dżunglą, górskimi lasami i bagnami. Na żyznych, nadbrzeżnych nizinach i na płaskowzgórzach większych wysp żyje prawie dwadzieścia milionów ludzi. Jak wszędzie gdzie przeszła hiszpańska kolonizacja, tak i tu misjonarze i księża arcykatolickich królów niezmordowanie krzewili chrześcijańską wiarę. Wiara Filipińczyków, zwłaszcza po wsiach i osiedlach górskich, pełna jest jednak naiwnych przesądów i przeróżnych, dziwacznych zabobonów. Niektóre zaś plemiona żyjące w dżunglach pozostały na tym samym prymitywnym stopniu rozwoju co cztery wieki temu.

Ochotnicza armia partyzancka „Hukbalahap" daje się mocno we znaki oddziałom rządowym.

SMUTNY BILANS

PRZYPADEK Filipin jest znamienny. Jest to bowiem jeden z nielicznych wypadków, kiedy Amerykanie mieli okazję wpływać na ukształtowanie się kraju kolonialnego, zacofanego pod każdym względem. Wpływy te działały nieprzerwanie przez kilkadziesiąt lat, a ich bilans jak również zestawienie pięciu lat niepodległości filipińskiej znalazły swój wyraz w oficjalnym dokumencie amerykańskim.

Dokumentem tym jest t.zw. „Bell Report" czyli w pełnym brzmieniu „Recommendations of the report of the Bell Economic Survey Mission to the Philippines to President Truman". Sprawozdanie to zostało opublikowane w październiku zeszłego roku.

Autorzy jego wykazują jasno w jaki sposób pokaźne sumy, wpłacane w ciągu ostatnich lat przez podatników amerykańskich, przekazane zostały do skarbu Republiki Filipińskiej i w jaki sposób sumy te zostały najzupełniej bezużytecznie zmarnowane oraz dlaczego odbudowa kraju wcale nie postępuje naprzód.

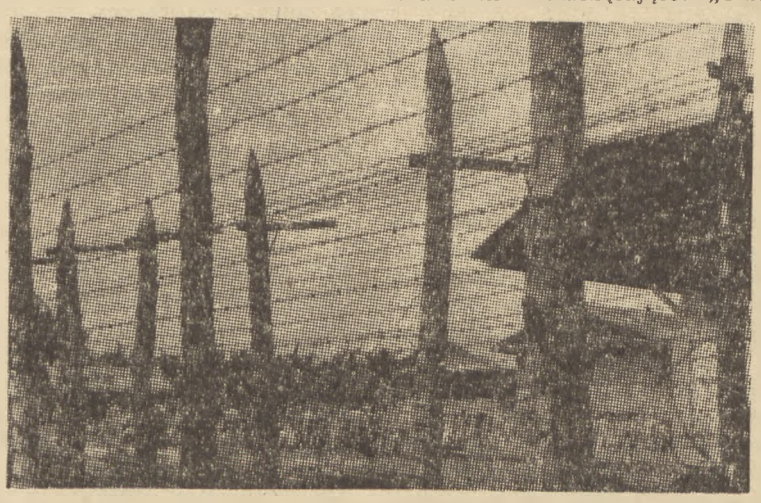

Kolonia karna w Darao, na wyspie Mindanao. Tymi sposobami rząd filipiński stara się stłumić bunty chłopów protestujących przeciwko nędzy i uciskowi gospodarczemu.

A oto co czytamy w cytowanym już sprawozdaniu „Bell Report":

„Aczkolwiek 75% Filipińczyków żyje z rolnictwa, które stanowi 56% dochodu narodowego, procent sum budżetu, które państwo przeznacza na potrzeby rolnictwa wynosi zaledwie 0,25%. Banki natomiast rozwijają się znakomicie dzięki finansowej pomocy państwa. Ponad 40% dochodu narodowego idzie na popieranie prywatnego handlu i budowę rezydencji. Nie należy jednak przez to rozumieć budowy osiedli robotniczych... Warunki bowiem, w których żyją pracownicy miejscy a zwłaszcza rolni urągają wprost godności ludzkiej i stanowią groźbę dla stanu zdrowotnego ludności."

GORZEJ NIŻ PRZED WOJNĄ

ROCZNA produkcja ryżu (około 2 milionów ton) nie wystarcza na pokrycie zapotrzebowania wewnętrznego. Podczas gdy przed wojną produkowano prawie milion ton cukru rocznie, obecna produkcja spadła do 200 tysięcy ton.

Produkcja oleju kokosowego i kopry jest jedną z najpoważniejszych na świecie. Całość jej absorbują Stany Zjednoczone, jak również prawie wszystkie metale i rudy (chromu, żelaza, złota, manganu) wydobywane na Filipinach.

„Nierówność dochodów — czytamy dalej w „Bell Report" — która zawsze była znaczna na Filipinach, w ostatnich latach jeszcze się wzmogła. Podczas gdy stopa życiowa mas pracujących nie dosięgła jeszcze poziomu przedwojennego, dochody bankierów, przemysłowców i wielkich posiadaczy ziemskich wzrosły w sposób zupełnie wyjątkowy. Aczkolwiek ceny są trzy do czterech razy wyższe niż przed wojną, zarobki robotników fabrycznych w Manilli pozostały te same co w 1941 roku. Natomiast na prowincji zarobki te są mniejsze niż przed wojną.

Skarb państwa ma stały i ciągle wzrastający deficyt ponieważ podatki pokrywają zaledwie 60% wydatków państwowych. Z tego pięć szóstych pochodzi z opodatkowania artykułów pierwszej potrzeby, a tylko 1/6 z podatków nałożonych na towarzystwa i trusty przemysłowe. Wydatki państwowe na oświatę i służbę zdrowia są śmiesznie małe. Już teraz, w niektórych prowincjach nauczyciele ludowi nie zostali zapłaceni..."

Więc cóż stało się z milionami które pożyczono od Stanów Zjednoczonych?

Odpowiedź cytowanego sprawozdania brzmi niezachęcająco: **„Olbrzymia większość tych pieniędzy użyta została na import zbędnych wyrobów luksusowych z USA, na transfer do Stanów Zjednoczonych zarobków obywateli i towarzystw amerykańskich oraz na transfer kapitałów bogatych Filipińczyków".**

Konkluzje „Bell Report" są wprost wstrząsające w swojej szczerości, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że chodzi tu przecież o dokument amerykański, wystawiony i podpisany przez synów i wnuków tych samych ludzi, którzy pół wieku temu zdecydowali się „zapewnić Filipińczykom naukę i wychowanie, oraz dobrodziejstwa cywilizacji tak samo jakby chodziło o własnych współobywateli..."

„Nadzieje na postęp gospodarczy i na wzrost stopy życiowej mas pracujących nie ziściły się mimo pięciu lat pokoju i czterech lat niepodległości. Nie uczyniono nic aby zwiększyć produkcję... Kraj zależny jest w dalszym ciągu od kilku podstawowych artykułów rolniczych jak orzechy koksowe, konopie, cukier i koprą, których uprawa pozwala rolnikom akurat na nędzne życie, ale spekulantom i handlarzom na krociowe zarobki".

Pogorszenie się sytuacji ekonomicznej wywołało wśród ludności uczucie głębokiego zawodu. Przeważna część robotników rolnych i miejskich nie wierzy już żeby rząd mógł i chciał poprawić ich warunki bytu.

Filipińskie chłopki przy „młocce" ryżu.

Ostatnio szerzy się bezrobocie... Nie należy spodziewać się by rząd potrafił pokonać przeszkody, które stoją przed obecną i tak już katastrofalną, gospodarką Filipin.

„Bell Report" mówi wiele, ale nie mówi wszystkiego. Przemilcza sprawę najważniejszą. Albowiem, czytając to dokładne sprawozdanie, mogło by się wydawać, że dobry wujaszek Sam nie szczędzi starań i dolarów by pomóc swym „wyzwolonym wychowankom" a tylko oni sami marnują bezużytecznie jego cenne dary. Zachodzi jednak pytanie komu zależy na utrzymaniu obecnego smutnego stanu rzeczy? Kto ciągnie zysk z transferu walut filipińskich do USA? Kto zarabia na eksporcie luksusowych i niepotrzebnych towarów, które masami widuje się w oknach wystawowych Manilli i paru większych miast wysp filipińskich? — Odpowiedź na to pytanie daje klucz do rozwiązania zagadnienia obecnej katastrofalnej sytuacji ekonomicznej tego kraju.

RUCH LUDOWY „HUKBALAHAP"

OD kilku lat już niezadowolenie Filipińczyków przeradza się w zbrojny protest mas chłopskich, którego wyrazem jest niepodległościowy i demokratyczny ruch kierowany przez dawnych partyzantów z „Hukbong Bayan Laban sa Hapon" czyli Antyjapońskiej Armii Ludowej (w skrócie Hukbalahap).

Ta partyzancka Armia Ludowa liczy dziś niemal tylu ludzi co regularne wojsko filipińskie uzbrojone w amerykańską broń. W niektórych częściach kraju, jak np. na wyspie Luzon, całe prowincje znajdują się pod kontrolą Hukbalahap. Na wyzwolonych obszarach przeprowadza się reformę rolną a władze sprawują komitety i Rady Wiejskie

Represje spadające na działaczy zdelegalizowanej Partii Komunistycznej, na działaczy związkowych i członków „Demokratycznego Przymierza" nie mogą zahamować fali oporu gnębionego gospodarczo ludu filipińskiego.

Na próżno, sam minister Obrony Ramon Magsaysay wołał do policjantów i żołnierzy: „Podwoić straże wokół Manilli! Rozkazuję by każdy podejrzany osobnik był bezwłocznie rewidowany. Każdy żołnierz w służbie czynnej musi być w pogotowiu! Każdy podejrzany dom ma być natychmiast przetrząśnięty! Spalić lasy, w których ukrywają się partyzanci!"

Na próżno, Bo w ciągu ostatnich miesięcy wyzwoleńczy ruch ludowy Hukbalahap wzmaga się na sile. Śmiało też powiedzieć można że dzisiejszy prezydent Quirino rządzi de facto pod opieką amerykańskich bagnetów.

Zarzuty uczynione ob. Radziszewskiemu Ładysławowi, zam. Warszawa, ul. Szeroka Nr 30, w liście moim z dnia 28.IV.1952 r. wysłanym do Księdza Rogowskiego, Parafia Rzymsko-Katolicka Nur nad Bugiem odwołuję i za dokonane zniesławienie i obrazę przepraszam.

Kulik Andrzej
Warszawa
Grochowska 287

Choroba filozofii chrześcijańskiej

z rzeczywistością bytu. Biada tym, którzy idą tylko za swoimi nawykami zamiast śledzić sam byt.

Tu kryje się zasadnicza przyczyna, zasadnicza odpowiedź na pytanie dlaczego katolicy nie są w stanie przekazanych im nauk przedstawić w sposób przekonujący i dowieść ich prawdziwości przed ludźmi innych poglądów czy odmiennej wiary. Dlatego, że nauk tych nigdy sobie samym nie przyswoili w ich istotnym znaczeniu. Nigdy ich dogłębnie nie przemyśleli, a więc i nie potrafili wyrazić w języku swojej epoki. Jak zaś można świadczyć prawdę wiary katolickiej jeśli nie realizuje się tych podstawowych założeń. Posłuszeństwo wobec Kościoła musi być czymś więcej niż wiernym powtarzaniem. Posłuszeństwo wobec Kościoła zakłada wolność tego sądu. Zakłada podjęcie obowiązku przeżywania idei Kościoła w oparciu o zasadę rzetelnego, samodzielnego współmyślenia. Fakt, że jest to zjawiskiem tak rzadkim świadczy o przechodzeniu przez myśl chrześcijańską fazy ostrego kryzysu.

Czynnikiem mobilizującym myśl naszych czasów jest świadomość jej historyczności, jej uwarunkowań, tzn. głębokie przekonanie o związku procesów myślowych z uwarunkowaniami historycznymi. Jeśli istniała kiedyś epoka omamiona ideałem pełnego obiektywizmu nauki, to dzisiaj już wiemy, że nie ma obiektywizmu całkowicie wyzwolonego z uwarunkowań natury subiektywnej. Nawet najbardziej abstrakcyjna z nauk, matematyka, która chlubi się największym obiektywizmem, ma swoją historię zagadnień i wiąże się przez to z konkretnymi warunkami życia ludzi, którzy ją tworzyli. Trzeba cofnąć się głęboko w historię, aby odnaleźć prawidłowe, zrozumiałe same przez się ukazanie wzajemnej zależności podmiotu i przedmiotu, takie jakie *przykład* zawarte zostało w pojęciu *obiectum formale* Tomasza z Akwinu, które właśnie nie oznaczało izolowanego przedmiotu, lecz przedmiot z uwzględnieniem podmiotu, zwłaszcza z uwzględnieniem jego punktu widzenia. To że ta nauka o przedmiocie w późniejszej scholastyce kostniała coraz bardziej aż wreszcie idealizm rozluźnił całkowicie związek zależności między przedmiotem i podmiotem, było istnym fatum, albowiem nauka o *obiectum formale* rozwinięta i udoskonalona doprowadzić by musiała w logiczny sposób do zrozumienia historycznych uwarunkowań naszych procesów myślowych. Myślenie ograniczono wyłącznie do problemu „*quid recipitur*" a zapomniano o związanym z tym i jednakowo ważnym problemie „*modus recipiendi*". Przeoczono, wydaje się, iż ów *modus recipiendi* ma swoją historię, że uzależniony jest od konkretnych rozstrzygnięć, konkretnych decyzji ludzkich, że konsekwencjami tych decyzji rządzi nieodwracalna logika.

W dziedzinie etyki zachowały się ślady tej starej mądrości, ale jaki związek ma etyka z innymi dyscyplinami filozofii? A i tu tzw. obiektywne normy wydają się być ideami którym Bóg wie jaki *deus ex machina* nadał moc obowiązującą. Rozstrzygające było to, że wygrano je niejako przeciwko podmiotowi. Znowu przeoczono, że właśnie w prawidłowym i rzetelnym ustawieniu celu podmiotu, a więc w jego rzetelnym historycznie uwarunkowanym rozstrzygnięciu leży siła współtwórząca podstawy rzetelnego obiektywizmu norm obyczajowych.

Obserwując przeciętnego filozofa czy teologa szkoły scholastycznej można mówić wręcz o występującym u nich lęku przed rozumieniem historyczności myślenia, ponieważ rozumienie tej historyczności wiąże się z koniecznością rozumienia współczynnika subiektywizmu. Ale czy ów subiektywizm jest mniej obiektywny niż abstrakcyjne idee, które ci filozofowie sławią? Pokłady i głębia tego subiektywizmu dopiero w naszym stuleciu zostały w pełni ukazane. Psychologia i socjologia nauczyły nas widzieć człowieka w zupełnie nowych wymiarach. Wielu teologów patrzy na osiągnięcia tych nauk z nadmiernym sceptycyzmem, zamykają się przed nimi niemal na wszystkie spusty. To, że w życiu ludzkim jedność działania i myślenia jest tak wielorako w sobie zawęźlona nie zmienia przecież faktu, że jedność ta ukazuje ostateczną przesłankę, która nadaje sens istnieniu człowieka. Cóż zaś pozostało dzisiejszej filozofii i teologii scholastycznej z owego dialogu między Bogiem i człowiekiem, dialogu, który stanowi przecież treść historii ludzkości?

Możliwe, iż ciągle jeszcze panujący idealizm subiektywny zdyskredytował pojęcie osoby i wolności, które są niezbędne dla zrozumienia historycznych uwarunkowań naszej myśli. A przecież należałoby wiedzieć, iż właśnie te dwa pojęcia określające godność człowieka mają swój początek i swój trwały sens w Bogu, tak, iż właśnie na nich wspiera się najsilniej prawdziwy obiektywizm. W istocie zagraża nam na nowo niebezpieczeństwo subiektywizmu, jeśli pojęcia osoby i wolności rozumiane będą wyłącznie „duchowo" i traktowane w oderwaniu od konkretnego człowieka z krwi i kości. Osoba ludzka kształtuje się w rozwoju historycznym poprzez rozstrzygnięcia i decyzje, które realizują się nie tylko w sferze „duchowej", ale także w rzeczywistości konkretnej, tzn. konkretnie w ludzkim działaniu. Tylko tak powstaje historia, tylko tak człowiek bierze — dosłownie — na swoje barki własny los, przezwyciężając go równocześnie na drodze wolności wyboru. Wolność dla ludzi istnieje zawsze tylko w kontekście zależności, nie ma wolności bez zobowiązań.

Tak więc w zrozumieniu historycznych uwarunkowań człowieka kryje się punkt wyjściowy dla przezwyciężenia zarówno subiektywizmu jak i fałszywego obiektywizmu, którego szuka się zawsze tylko poza człowiekiem. To samo dotyczy naturalnie i myśli ludzkiej, której nie wolno odrywać od zasadniczych rozstrzygnięć człowieka. W tym sensie nie ma myślenia bez założeń. Dlatego myśl nie jest beznadziejną ofiarą subiektywizmu; istnieje bowiem podejmowanie zasadniczych decyzji przed Bogiem, od której tak uzależnia się wszystkie myśli, że już nie można rozstrzygnąć czy najprzód dokonał się proces dokonywania wyboru założeń. Albowiem Bóg jest tym samym, co i absolutna obiektywna przesłanka, która warunkuje i obejmuje naszą myśl oraz nakłania ku sobie wolę.

NA koniec musimy rzucić okiem na ujętą w procesie powstawania wizję świata współczesnego i zapytać: jak zareagowali nasi filozofowie i teologowie na wyniki współczesnych nauk przyrodniczych? Nie umieją nam w ogóle dać na poczekaniu odpowiedzi. Stoi przed nimi postulat wypracowania filozofii przyrody właściwej dla naszej epoki, gdyż dotychczasowe założenia scholastycznych filozofów przyrody bazowały na przeżytej zdezaktualizowanej wizji świata, co wyklucza możliwość asymilowania przez nich wyników badań i przemyśleń współczesnych nauk przyrodniczych.

Niezwykłe to zjawisko, że najwybitniejsze dyscypliny filozoficzne pozostają zawsze tak bardzo w tyle za naukami przyrodniczymi. Istnieje wiele i to dosyć uzasadnionych przyczyn dla wytłumaczenia bardziej

Dokończenie ze str. 3

wyczekującej postawy teologa. Ale czy przyczyny te tłumaczą także filozofię chrześcijańską? Tu mści się niedocenianie historycznych uwarunkowań myśli ludzkiej i przesadne przywiązanie do starych, przeżytych już sformułowań. Utrudnia to filozofom scholastycznym przełamanie swoich nawyków myślowych, utrudnia poznanie problemów i rozwiązań przyrodników współczesnych, a tym samym utrudnia postawienie i rozstrzygnięcie podstawowych w tej dziedzinie zagadnień. Wiele żmudnej roboty jest tu do odrobienia, do odrobienia w atmosferze maksymalnej bezstronności i braku uprzedzeń. Dotyczy to zwłaszcza fizyki, a jeszcze bardziej biologii. Musimy naprzeciw nowej wizji nowego człowieka wyjść z większą niż inni bezstronnością, gdyż przede wszystkim chrześcijanin wie, że właśnie teologiczne przesłanki rozumienia spraw ludzkich są w prawdach wiary niepodważalne.

Człowiek współczesny staje przed wieloma problemami, kapłan duszpasterz nie może dać mu odpowiedzi i uchyla się od niej, tak że wierni tracą pewność, zwłaszcza, iż teolog autorytetem swoim firmuje przeżyte, zdezaktualizowane poglądy z zakresu filozofii przyrody. Gdzie są scholastyczni filozofowie, którzy staną do realizacji tego zadania jeśli troszczą się tylko o to, by dostarczyć młodym teologom kilku pojęć filozoficznych, które później będą potrzebne do zrozumienia dogmatyki? Dlaczego wśród ludzi odpowiedzialnych za wykształcenie i wychowanie młodych filozofów chrześcijańskich nie widać dostatecznej troski o rozwiązanie tej kwestii? Dlatego, że traktuje się filozofię zbyt mało poważnie, dlatego, że sprowadza się ją tylko do ogólnego szkicu tez i podporządkowuje wąskiemu celowi praktycznemu.

To wszystko może być pożyteczne, więcej: niezbędne. Ale nie jest najważniejsze i jedyne. Nawet jeśli się jest dostatecznie trzeźwym, by nie przeceniać tego, co dać może filozofia, to jednak pamiętać należy, iż od dawna powołana ona jest do właściwego wyrażania problemów epoki, do przygotowywania tego rozumienia rzeczywistości, które wiedzy i postępowaniu człowieka nadaje dopiero sens ostateczny. Jest ona rozstrzygającym *medium*, rozstrzygającym pośrednikiem wszelkiego rozumienia świata, choćby była pojmowana tylko jako nauka czy mądrość życiowa.

To rozumienie świata jest ostatecznie uwarunkowane w swoich założeniach wiarą. Bez zrozumienia tego wiara w ludzkim pojęciu nie miałaby zastosowania, gdyż niepojęty Bóg mówi do nas w swym objawieniu językiem naszego rozumienia. To rozumienie i język jego wypowiadania kształtują się i wzrastają w historii, ale wraz z tym wzrasta także nasza odpowiedzialność wobec prawd wiary i wobec Kościoła. Ale słabość naszej wiary, nasze lenistwo i skłonność do samozadowolenia każą nam zawsze spoglądać tylko wstecz, zamiast kroczyć odważnie naprzód w kierunku, w którym prowadzi nas Bóg.

*

WYNIK tych rozważań jest ponury. Niektórzy powiedzą: zbyt ponury. Przede wszystkim jednak zarzuci się tym uwagom, iż zdają się czynić scholastykę odpowiedzialną za wszystkie braki.

Filozofia scholastyczna ma bez wątpienia swoje wielkie zasługi. Jej siłą jest nie tylko to, że ma nam jeszcze wiele dzisiaj do powiedzenia, zwłaszcza jeśli chodzi o naukę swoich wielkich mistrzów. I należy strzec się aby tego, co przekazała nam ona z wielkiego dziedzictwa przeszłości nie lekceważyć, zanim na to miejsce nie znajdziemy czegoś lepszego lub przynajmniej równie dobrego. Przede wszystkim powinni milczeć ci, którzy ją osądzają nie znając jej.

My występujemy tylko przeciwko temu, że scholastykę w jej dzisiejszym systematycznym wykładzie traktuje się jako ostateczne osiągnięcie, powodując tym samym zastój myśli wewnątrz Kościoła. Temu, kto zaprotestuje przeciwko takiemu zarzutowi przypominamy, że nie tylko historia współczesna dostarcza przykładu, iż skostniała w szkolny system scholastyka zawsze była wroga postępowi myśli. Nie chodzi tu tylko o postęp jako taki, ale o postawę otwartych oczu, o czujność uszu, chcących i mogących słyszeć.

Gdyby skromnie podjęło swe zadania wobec Kościoła wielu młodych filozofów, którzy mają odwagę i siłę nie tylko studiować gruntownie wielką scholastykę, lecz także podejmować zagadnienia współczesności, by znaleźć dla nich w duchu rzetelnego rozumienia tradycji utrzymane rozwiązania, na które oczekuje epoka — wtedy troskę, która tu doczekała się swojego wyrazu, można by powierzyć temu, który kieruje światem i jego przeznaczeniem.

Tomasz Peters

tłum. z niemieckiego Z.L.

Pamiętniki Herberta Hoovera

dopuścić do jakiegokolwiek skrępowania potęgi ekonomicznej Stanów Zjednoczonych, gdyż jest ona „najlepszym orężem dla zmuszenia do przyjęcia naszego punktu widzenia". Dalsze stronice wyjaśniaja wyraźnie co oznacza „nasz punkt widzenia". Z opisów Hoovera poznajemy, że zmobilizowanie przez Stany Zjednoczone dostaw aprowizacyjnych dla głodującej Europy podyktowane było przede wszystkim checią zyskownej sprzedaży amerykańskich nadwyżek zbożowych. W dyskusjach międzysojuszniczych zwracano uwagę, że zboże dla Europy można tanio nabyć w Argentynie lub w różnych dominiach angielskich. Hoover opowiada jak storpedował tę propozycję, korzystną zarówno dla odbiorców jak i dla handlu brytyjskiego, za pomocą ostrej repliki, iż nie broni nikomu kupować tanie zboże, ale Stany Zjednoczone dadzą kredyt tylko na zakupy na rynku amerykańskim i po cenach tam obowiązujących. Nie zgodził się również na obniżkę tych cen tłumacząc zupełnie otwarcie że nie może narażać na straty wielkich producentów amerykańskich.

Pamiętajmy że pomoc amerykańska dla Europy przy końcu pierwszej wojny światowej nie była bynajmniej bezpłatna. W parę lat później Stany Zjednoczone wystawiły poszczególnym państwom, które z niej korzystały, m.in. i Polsce, słone rachunki, które trzeba było potem spłacać przez wiele lat w postaci tzw. długów reliefowych (Relief — pomoc). Hoover ujawnia przytym, że dostawy kredytowe rozpoczynały się dopiero wtedy, gdy już wszystkie zapasy złota i dewiz głodujących państw europejskich były całkowicie wyczerpane przez pokrywanie zakupów w Ameryce. M.in. Komitet Hooverowski zażądał, aby pomoc żywnościowa dla ludności niemieckiej była całkowicie opłacana z zapasów złota Rzeszy, zasekwestrowanych przez Entente'ę i przeznaczonych na odszkodowania. Wywołało to burzę oburzenia we Francji, gdzie zupełnie wyraźnie nazywano „pomoc amerykańską" aferą lichwiarską służącą do zgarniania przez Stany Zjednoczone całego europejskiego zapasu złota.

Dokończenie ze str. 2

POMOC Hooverowska nie była jednak tylko doraźnym i korzystnym dla Stanów Zjednoczonych interesem handlowym. Miała ona wszelkie cechy prekursora dzisiejszego Planu Marshalla. Kapitał amerykański wykorzystywał ją jako środek swej ekspansji gospodarczej i politycznej, w szczególności dla narzucenia kontroli nad najważniejszymi gałęziami życia gospodarczego krajów „wspomaganych". Pamiętniki Hoovera ujawniają nam, że „pomoc" uwarunkowana była daleko idącą ingerencją różnych misji amerykańskich w sprawy polityczne, finansowe, komunikacyjne, przemysłowe itd. Ilustruje to najlepiej przykład naszego kraju.

Już w listopadzie 1918 r zjawiła się w Polsce misja Komitetu Hooverowskiego dla „zbadania sytuacji". Interesowała się ona nie tyle potrzebami żywnościowymi ludności polskiej, jak stosunkami politycznymi. Przesłała Hooverowi raport stwierdzający, że Piłsudski prowadzi walkę z Rosją radziecką i że należy go poprzeć, ale jako minus uznała, że rząd jego składa się w dużym stopniu z „doktrynerów". Prawicowo-socjalistyczny gabinet Moraczewskiego nie podobał się Amerykanom, gdyż miał za mało przedstawicieli „sfer gospodarczych". Hoover przychylił się do sformułowanych w raporcie wniosków i kazał przedłożyć Piłsudskiemu ultimatum: albo powołany zostanie rząd prawicowy, albo Polska nie otrzyma żadnej pomocy amerykańskiej. W ten sposób pamiętniki Hoovera ujawniają nam genezę upadku pierwszego rządu w Polsce dwudziestolecia. Wkrótce potem przybył do Warszawy sam Hoover, gdzie, jak pisze, „oczekiwano moich wskazówek co do całokształtu spraw politycznych i gospodarczych".

Doradcy amerykańscy zaczęli „nadzorować" we wszystkich urzędach polskich z pełnomocnictwami nieraz wprost dyktatorskimi Czyż nie znamienny jest „żart" Hoovera wysyłającego swego współpracownika dla uruchomienia kopalń węglowych w rejonie nadolzańskim ze słowami: „Mianuję pana księciem Cieszyna" Ile było prawdy w tym żarcie świadczy depesza Hoovera do tego samego pełnomocnika, zawierająca polecenie objęcia kontroli również nad kopalniami węgla w Zagłębiu Dąbrowskim: „Zapewniam sobie u władz polskich, że wszystkie pana wskazówki będą bezwzględnie wykonywane".

Pomoc amerykańska dla Polski w latach 1919—1920 ulżyła w minimalnym stopniu ciężkiej ówczesnej doli naszej ludności. W praktyce była ona przeznaczona przede wszystkim dla podtrzymywania udziału Polski w interwencji antyradzieckiej. Koszt jej spadł natomiast ciężkim brzemieniem na całe społeczeństwo. Zacytujmy jeszcze jeden charakterystyczny przykład metod „bezinteresownej pomocy amerykańskiej". Po odzyskaniu niepodległości, emigranci nasi w Ameryce przesyłali masowo datki i przekazy pieniężne dla swych rodzin w macierzy. Pod pozorem pośrednictwa w tej akcji administracja Hooverowska zagarniała te dolary dla opłacania zakupów dla Polski, wypłacając zainteresowanym ekwiwalent w deprecjonujących się markach okupacyjnych. Był to dla niej nie tylko doskonały interes dewizowy, ale w ten sposób pozbawiano też Polskę tak wówczas potrzebnych walut, co skolei utrzymywało nasz kraj w tym większej zależności od monopolistów amerykańskich

Chcąc zamaskować istotny sens „pomocy amerykańskiej" i swą uległość wobec dyktanda imperializmu Stanów Zjednoczonych, ówczesne rządy polskie gorliwie szerzyły legendę o bezinteresownej przyjaźni dla narodu polskiego. Pomniki na cześć Hoovera symbolizować miały wdzięczność Polaków za wspaniałomyślną pomoc. Dziś już bolesne doświadczenia nauczyły nas krytycznie oceniać te kłamliwe „idealistyczne" frazesy. Pamiętniki Hoovera, będące w założeniu swym próbą ratowania zbankrutowanej legendy w rzeczywistości pomagają nam ocenić w należyty sposób sławetną pomoc amerykańską z 1919 r.

Szymon Dereń

Miasto warte największych wyrzeczeń

WARSZAWA

dokumenty walki, zniszczenia, odbudowy

Scenarjusz: Stanisław Jankowski, Karol Małcużyński, Ludwik Perski. Realizacja: Ludwik Perski przy współpracy Stanisława Jankowskiego i Karola Małcużyńskiego. Zdjęcia: Sergiusz Sprudin. Montaż: Ludmiła Niekrasowa. Tekst: Karola Małcużyńskiego. Czyta: Andrzej Łapicki. Wiersz: Tadeusza Kubiaka. Recytuje: Marian Wyrzykowski. Produkcja: Wytwórnia Filmów Dokumentalnych 1952.

Utarło się przekonanie, że film dokumentalny to coś takiego jak artykuł wstępny w gazecie. Oczywiście nie wszystkie artykuły wstępne są nużące i nie wszystkie filmy dodokumentalne są złe. Dobry artykuł jednak i dobry film muszą przezwyciężać uprzedzenia, złą opinię, rezerwę widza i czytelnika przygotowanego na beznamiętną suchą relację, w której retoryka zastępuje pasję a sztuczność spojrzenia „z za biurka" zaciera patos wydarzeń.

Jest mało filmów fabularnych wywołujących oklaski w kinie. „*Warszawa*" — film dokumentalny w na pół tylko zapełnionej sali kina Moskwa, żegnany był oklaskami.

Rozmawiałam z nieprzejednanymi wrogami filmów dokumentalnych. Zostali *Warszawą* zawojowani. Przyznali, że z pasją śledzili każdy epizod, że byli nie tylko zainteresowani ale najszczerzej wzruszeni.

Film rozpoczynający się pięknie ilustrującym wiersz Kubiaka przypomnieniem 700-letniej tradycji Warszawy, jest zwięzłą, dobrze skomponowaną opowieścią o losie stolicy. Dzieje ostatnich 13 lat Warszawy — to najpatetyczniejsza historia naszych czasów. Film opowiada ją w skondensowanym czasie filmowym.

Tym którzy bezpośrednio nie przeszli 13 warszawskich lat pozwala nie tylko poznać, ale przeżyć dzieje „zniszczenia, walki i odbudowy".

Tym którzy mieszkali w Warszawie, daje perspektywę, pozwala zestawić i ocenić rozproszone w pamięci fakty.

Bohaterem filmu jest Warszawa. Jej tradycja zamknięta w architekturze, pomnikach, historii, dawnych walkach o wolność i jej teraźniejszość wyrażająca się w domach, ulicach, wydarzeniach, przeżyciach ludzkich — obejmująca wszystkie te elementy, które składają się na pojęcie atmosfery miasta

Podtytuł filmu zapowiada skromnie: dokumenty walki, zniszczenia i odbudowy. Uszeregowanie tych dokumentów, celne operowanie materiałem archiwalnym, wybór i piękne ujęcie tematów aktualnych decydują o tym, że film jest artystycznie przemyślanym, pasjonującym essayem historycznym. Jest także — tak jak zapowiada autorska dedykacja — prawdziwym hołdem złożonym stolicy. Hołdem tym cenniejszym, że pełnym miłości i wielkiego kultu Warszawy.

Wydaje się, że najtrudniejszym problemem przy opracowywaniu filmu była sprawa selekcji materiału. Dążenie do opowiedzenia wszystkiego jest naturalne. Trzeba wielkiego umiaru artystycznego, by z tak olbrzymiego materiału jakim jest kronika ostatniego dziesięciolecia stolicy wybrać te momenty, które najlepiej wyrażą jej dzieje. Sądzę, że olbrzymią zaletą filmu jest surowa dyscyplina artystyczna w wyborze pokazywanych zdarzeń. Umiejętność operowania momentami mającymi wartość uogólnień. Faktami, w których jest zawarta jakaś metafora. Zrozumienie — że typowość zjawisk najmocniej wyraża zestawienie niepowtarzalnych jednorazowych prostych faktów.

Motywem kierującym wyborem było wydaje się, pragnienie wydobycia tego co stanowi istotę warszawskiej tradycji. 39 rok — jest nie tylko historią pierwszego aktu zniszczenia, ale i hołdem złożonym bohaterstwu „przełajdaczonej przez panów" stolicy. 5 lat okupacji — to nie tylko łapanki, teror, egzekucje, drugi akt zniszczenia, ale przedewszystkim obraz atmosfery miasta naprawdę nieujarzmionego. Powstanie — trzeci akt zagłady jest znowu nie tylko oskarżeniem podłości i bestialstwa tych, którzy chcieli uczynić w Warszawy „punkt geograficzny na mapie" ale także hołdem dla jej tak nikczemnie wyzyskanego bohaterstwa.

Dalej, lapidarność przypominania historii odbudowy stolicy daje widzowi nową perspektywę w spojrzeniu na teraźniejszość Warszawy, pozwala dostrzec patos jej rozwoju. Zestawienie defilady na Placu Konstytucji, nowoczesnych maszyn używanych przy budowie Pałacu Kultury, wizji metra — z kubełkami i gołymi rękami tych, którzy wrócili na

ruiny, pozwala inaczej spojrzeć na teraźniejszość.

Przyzwyczailiśmy się do tego, że nasze miasto jest piękne. Nie trzeba wysiłku wyobraźni by wierzyć że będzie jeszcze piękniejsze. Cieszymy się urodą każdego odżywającego zakątka, jesteśmy dumni z rozmachu rozbudowy, ale zżycie się z problematyką miasta sprawia, że nie uświadamiamy sobie niezwykłości i wielkości faktu, że Warszawa istnieje i staje się jedną z najpiękniejszych stolic świata.

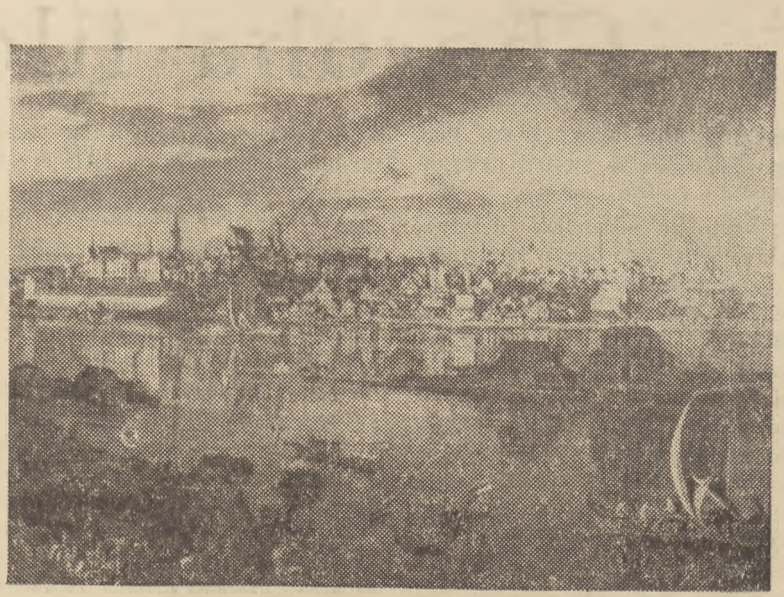

Film pozwala zrozumieć ogrom dokonanego dzieła. Dzieła rozpoczętego w chwili, kiedy w pamiętnych dniach styczniowych przewodniczący K.R.N-u Bolesław Bierut zdecydował, że wielkie cmentarzysko domów i ludzi pozostanie stolicą Polski, a mieszkańcy stolicy z uporem wielkiej miłości wracali do swego zrujnowanego miasta. Od tej chwili każdy warszawski miesiąc budzi nową dumę: z tego że tak szybko na pustyniach rumowisk powstawały nowe dzielnice, że wypalonym szkielletom zabytkowych kamienic przywracano z pietyzmem dawny kształt, że (i to film pięknie podkreśla) tam gdzie stały czynszowe kamienice studnie — siedliska nędzy, w tej chwili wznoszą się nowoczesne osiedla mieszkaniowe.

Dziś wiemy że Warszawa jest i będzie odbudowana. Że zostanie wskrzeszone to wszystko co było w niej piękne, a naprawione to co było złym dziedzictwem przeszłości. Film na nowo odkrywa wielkość i patos decyzji że będzie, i będzie lepsza przypominając niewiarygodną wydawałoby się śmiałość tego postanowienia i pokazując dosłowność jego realizacji.

Bardzo ciepłym i mocnym akcentem jest wprowadzenie powtarzającego się motywu losu dziecka. Dziecka, które dawniej wychowywało się w rynsztoku wilgotnego podwórka, które przeszło bezdomność lat okupacji, tego które właziło po drabinie do wiszącego wśród gruzów mieszkania, tego które w „mieście wartym największych wyrzeczeń" otrzymało przywilej beztroskiego dzieciństwa i tego wreszcie, które będzie żyć w nowej, pięknej Warszawie.

Pozornie wszystkie opisane w filmie fakty są znane. Zestawienie ich jednak, pokazanie w chronologii wydarzeń nadaje im nowy sens. Każdy epizod spełnia w stosunku do drugiego rolę komentarza. Zyskuje nową wymowę.

Realizatorzy pokazali wysoką kulturę artystyczną i publicystyczną: pozwolili mówić utrwalonym na taśmie filmowej dokumentom. Zaufali mocy oddziaływania ściśle filmowych środków ekspresji. Zdecydowali działać na widza pokazaniem, plastycznym w dosłownym znaczeniu przypomnieniem dziejów stolicy. Nie usiłowali przerzucić interpretacji opisywanych spraw na tekst mówiony.

Świetny literacko komentarz precyzuje i wyjaśnia to co pokazują zdjęcia. Nigdzie koturnowości, fałszywego patosu, sztuczności, „łopatologii" politycznej. Patos słów został zestrojony z patosem pokazywanych momentów. Dosadność, zwięzłość komentarza jest całkowicie zharmonizowana z surową prostotą faktów. Prawdziwość akcentów uczuciowych, ironii, goryczy, oburzenia, radości i podziwu wprowadza ton szczerego bezpośredniego ludzkiego przeżycia.

Ile chociażby ciepła wprowadza narrator w stosunku do kolumny Zygmunta tak często wracającej w filmie: od symbolu do[illegible] wziętego z *Uspokojen*[illegible] patosu, do tonu radośnie łobuzerskiego w chwili powrotu królewskiego posągu na nową wysoką kolumnę.

WARSZAWA — to jeden z najmocniejszych politycznie filmów, działających siłą wielkiego nieodpartego argumentu. Zasługa — i tematu i sposobu wyzyskania go, przez realizatorów. Tematu — los Warszawy bowiem był od 39 roku potężnym komentarzem politycznym. Od 45 r. do dziś każdy fakt warszawskiego życia agitował.

Realizatorów, ponieważ potrafili wybrać oraz bardzo pięknie pokazać niepowtarzalne, pełne ludzkiej i historycznej prawdy zdarzenia i pozwolili im mówić.

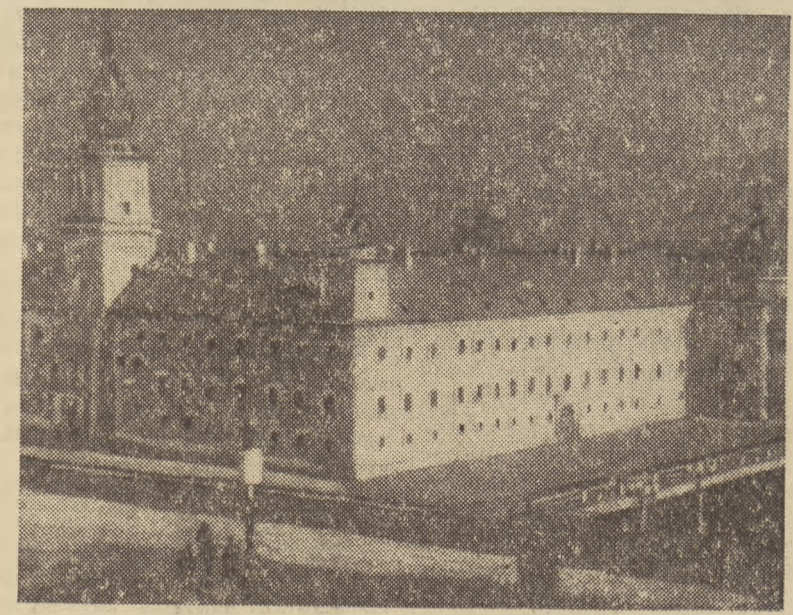

Sądzę, że film spełni swoje zadanie: dziś — przypominając najpatetyczniejszą historię, którą przeżyło nasze pokolenie — będzie najlepszym agitatorem Frontu Narodowego, w przyszłości będzie pięknym historycznym świadectwem prawdy losu Warszawy.

Leszek

ANTYKLEMENS

Dokończenie ze str. 7

„wyczerpującą ocenę", bo taka jest w ogóle niemożliwa, ale o dopomożenie autorowi do jak najlepszego zrozumienia własnej książki, a przez to do pogłębienia jego samowiedzy pisarskiej.

Tak pojmuję zadania krytyka wobec debiutantów i tak zamierzam wobec nich postępować również w przyszłości. Teroryzowanie ludzi, szturchanie ich i popędzanie kopniakami na swoją łączkę uważam za zabiegi z punktu widzenia pedagogiki literackiej niedopuszczalne — i poglądu tego nie zmienię, choćby stu Klemensów „podniesionym głosem" wywrzaskiwało mi w uszy swoje kanibalskie credo i domagało się przefasonowania każdego pisarza na obskurny klemensowy gust.

*

NIE zapomnijmy jednak, że cała awantura zaczęła się od Łepkowskiego (alem sobie przez niego biedy napytał!) Wróćmy więc na chwilę do inkryminowanej książki i inkryminowanej recenzji. Otóż zarzuca mi prokurator Klemens, że gdy mówię o przesunięciu gdzieś między rozdziały procesów duchowego rozwoju bohaterów, to upraszam „uprzejme domyślanie się"; że gdy piszę, iż „poza wycinkiem rzeczywistości ukazanym w książce działa również mechanizm wydarzeń pchających naprzód akcję powieści" — „podpowiadam za autora". Oj Klimek, Klimuś, zastanów się, chłopie! Przecież jeżeli coś odbywa się „między rozdziałami" — to znaczy, że się nie odbywa w powieści. A więc nie żadna „domyślność" i nie żadne „podpowiadanie" tylko proste stwierdzenie braku, czyli zarzut i to bardzo ciężkiego kalibru.

Nie byłem pobłażliwy dla Łepkowskiego, choć pisałem o jego książce nie zaciskając szczęk i nie trzymając noża w zębach. Ale nie mogłem pominąć niewątpliwych walorów „Ludzi znad zatoki". Nie zakasowała ta powieść „Wiatru od morza" ani marynistyki Conrada, lecz bądź co bądź powiedziała coś nowego o polskim morzu i wybrzeżu. Impresjonistycznie, po malarsku, bez pogłębień i otwierania szerszych perspektyw ale za to we własny sposób, po swojemu a nie na cudzą nutę. I uważam, że to — jak na pierwszy raz — wystarczy.

A przeto jeżeli Łepkowski przeczytawszy grzmiącą diatrybę pana klemensową mocno ją sobie wziął do serca, jeżeli siedzi teraz „smutny i sam" i — jak niegdyś Boy — rozważa:

Czy, jak mi radził pan Galle,
Byłem jak Bajron i Dante,
Czy tylko, w pustoty szale,
Składałem śpiwki galante?

to niech sobie, przypomniawszy, że bądź co bądź wzbogacił nieco swoim wkładem naszą ubogą literaturę marynistyczną, poszuka w tym samym wierszu Boya strofki następującej:

A jeślim gwary ojczystej
Choć jeden przysporzył klawisz
Ty mnie od hańby wieczystej
O, mowo polska, wybawisz!

*

TU pisania niniejszego koniec. Na pewno jednak nie koniec moich bojów z wami, o mili kanibale! Ale nim znowu posłyszę wasz okrzyk wojenny, nim znów ujrzę wasze dzidy i tomahawki, bywajcie zdrowi!. —

Stefan Lichański

Redaguje zespół.
Prenumerata miesięczna 1,80 zł Kwartalnie 5,40 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel 880 71 880 26

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3. Zam 2620. 3-B-25944